

FILM WŁADYSŁAWA PASIKOWSKIEGO „KURIER”
INSPIROWANY MISJĄ JANA NÓWAKA-JEZIORAŃSKIEGO
W KINACH W MARCU 2019 ROKU



KURIER Z WARSZAWY

JAN NÓWAK-JEZIORAŃSKI

**KURIER
Z WARSZAWY**

JAN NOWAK-JEZIORAŃSKI

**KURIER
Z WARSZAWY**

Znak Horyzont
Kraków 2019

Projekt okładki
Marcin Słociński

Autor plakatu wykorzystanego na okładce
Łukasz Markiewicz, 77 studio

Autor zdjęcia na okładce
Bartosz Mrozowski

Aktor na zdjęciu okładkowym
Philippe Tłokiński

Opieka redakcyjna
Krzysztof Chaba

Wybór ilustracji
Ewelina Olaszek

Adiustacja
Joanna Hołdys / Wydawnictwo JAK

Korekta
Anastazja Oleśkiewicz / Wydawnictwo JAK

Indeks
Joanna Hołdys / Wydawnictwo JAK

Łamanie
Andrzej Choczewski / Wydawnictwo JAK

Copyright © by Zakład Narodowy im. Ossolińskich
© Copyright for this edition by SIW Znak Sp. z o.o., 2019

ISBN 978-83-240-5728-3

Znak Horyzont
www.znakhoryzont.pl

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37
Dział sprzedaży: tel. (12) 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl
Wydanie II, Kraków 2019. Printed in EU

Poległym i zapomnianym

Spis treści

Edward Raczyński, Przedmowa	11
Od Autora	13

CZĘŚĆ PIERWSZA

I. W domu i w szkole. Ostatnie echa 1863. Osiem dwój za Sienkiewicza. Piłsudski z bliska. E. Kwiatkowski – bohater pozytywny. Harcerska inwazja Zaolzia. Ojcowski dukat otwiera przyszłość	19
II. Rozstanie z pracą naukową. Wrześniowy koszmar. Bitwa pod Uściągą. W niewoli z Cyrankiewiczem. Ucieczka	30
III. W Warszawie po kapitulacji. Niedoszły zamach na Hitlera. Pierwsze kroki w podziemiu: TAP i ZNAK. W roli szmuglera nafty i bimbru. Zaprzysiężenie w ZWZ	46

CZĘŚĆ DRUGA

IV. Nieudane początki w BIP. Spotkanie z Horbowym. W Akcji „N”. „Zbik”. Pierwsza wyprawa przez granicę. W Kutnie i w Poznaniu	65
V. Przygody „kolejarza”. W Sonderzugach. Bibuła „N”. W krzyżackim Malborku	83
VI. „Kowalik”. Wielka wsypa. Śmierć Klimka. Kurier „Wosio”. Na Śląsku i w Łodzi. W poszukiwaniu niemieckiego podziemia. Psychologiczne bombardowanie Reichu	94
VII. Podwójne życie. Szkot nauczycielem angielskiego. W kuchni pani Goetowej. Polska Podziemna w przekroju. Spełnione przekleństwo	117

CZĘŚĆ TRZECIA

VIII. Odkrycie drogi do Szwecji. Sztokholm czy Londyn? Kurierka „Hilda”. Papieros od gen. „Grota”. Na statku „Szwenger” nie było kuriera „Zycha”	131
IX. Dwie doby w luku z węglem. Przymusowe lądowanie na Gotlandzie. W gościnie u policjanta. U mety – w poselstwie RP	140
X. Sztokholm – centrum wojennego szpiegostwa. Angielska reakcja na Katyń. Polski wywiadowca w japońskiej służbie. Jak sztandar „Miłość żąda ofiary” wydostał się na wolność	157
XI. Droga powrotna. Białe noce w Luleo. W obozie beachcomberów. Rozstanie z Franciszkiem Klappem	165

- XII. „Drabant” zmienia kurs na Szczecin. Siedem dni i nocy w węglu. Aresztowanie „Hildy” i „Tadeusza”. SOS, które nie dotarło. Gestapo poszukuje Jana Kwiatkowskiego. Przez Szczecin do Gdyni 172
- XIII. Wsypa w Poznaniu. Powrót do Warszawy. „Żbik” i „Wosio” w więzieniu. Męczeńska droga kuriera „Tadeusza” 181

CZĘŚĆ CZWARTA

- XIV. „Czarny tydzień”. Śmierć Sikorskiego. Aresztowanie „Grotą”. Rozmowa z „Prezesem”. Rozkaz wyprawy do Londynu. Spotkanie z „Gretą” – szczęśliwa trzynastka. Przygoda na Piusa. Komunistyczna dywersja ... 195
- XV. Rozmowy w BIP-ie. U Romana Knolla. Radiostacja „Świt”. Hazard i fiasko 206
- XVI. Gryps od „Żbika”. W poszukiwaniu angielskiego włosa. Śledztwo i wyrok. „Żbik” uwodzi kalefaktora Alfonsa. Ucieczka spod szubienicy ... 216
- XVII. Na odprawie u Dowódcy AK. Triumwirat: „Bór”–„Grzegorz”–„Prezes” przekazuje czteropunktowy meldunek Naczelnemu Wodzowi. Katastrofa w Gdyni. Podejrzenia emisariusza „Górala” 223
- XVIII. Zostaję Janem Nowakiem. Prezent dla Churchilla. W Gdyni bez dachu nad głową. Przez Bałtyk po raz drugi. W więzieniu w Malmö. „Admirał Hipper” przychodzi z pomocą. W bombowniku „Mosquito” do Szkocji 234

CZĘŚĆ PIĄTA

- XIX. W „Patriotic School” i w Oddziale Specjalnym Sztabu NW. Raport u Naczelnego Wodza 251
- XX. Polityczna geografia polskiego Londynu. Noc wigilijna u państwa Sosnkowskich. Premier i Naczelnny Wódz – porównanie. Sprawa polska po Teheranie 259
- XXI. Rozmowa z Prezydentem RP. Podział na strefy okupacyjne przesądza los kraju. „Bór” przesyła plan „Burzy”. Polemika z Sosnkowskim. Anglicy wstrzymują rzuty broni. Premier wytycza zadanie 272
- XXII. Rozmowy z Anglikami. Dalton i Bevin upominają Polaków. Archibald Sinclair oblewa zimną wodą. Polscy dyplomaci w walce. Kardynał Griffin obiecuje modlitwy. Arcybiskup Canterbury obiecuje pomoc. U Edena 282
- XXIII. Wywiad i lunch w redakcji „Timesa”. Przemówienie w Izbie Gmin. Sprawa Misji Brytyjskiej w Polsce. Mikołajczyk przerzuca decyzje na kraj ... 299
- XXIV. Intryga mjr. Mortona. Churchill oddaje pół Polski Stalinowi. Spotkanie z Józefem Retingerem 311
- XXV. Cenzura w BBC i w Polskim Radio. *Postscript after 9 o'clock news*. Na polskich stacjach lotniczych. Lord Vansittart krytykuje Churchilla. Tajna audycja u Premiera Wielkiej Brytanii 324

CZĘŚĆ SZÓSTA

- XXVI. Fatalny skok spadochronowy przekreśla plany powrotu. Prowokator „Jarach” zdradza sieć łączności. Pierwszy „Most”. Apel dwóch emisariuszy. Zdobywcę w Sarnakach otwiera drogę do kraju 345
- XXVII. Gen. Tatar utrudnia powrót, Sosnkowski przychodzi w sukurs. Przedwyjazdowe rozmowy. Ostatnie spotkanie z Mikołajczykiem. Koncepcje Premiera ratowania Polski. Tajemnicze słowa pożegnania 356
- XXVIII. W Gibraltarze z Naczelnym Wodzem. Ostatnia rozmowa z Sosnkowskim w Algierze. Instrukcje dla Dowódcy AK. Nagłe rozstanie w Casercie ... 371

CZĘŚĆ SIÓDMA

- XXIX. W bazie „Jutrzenka”. Burza idzie ku Warszawie. Trzeci „Most”. Dramatyczna noc pod Tarnowem. Z powrotem na polskiej ziemi 383
- XXX. Powrót do stolicy. Melina na Żoliborzu. Znajomy z portretu. Warszawa przed burzą 395
- XXXI. Spóźniony raport emisariusza. Spotkanie z Delegatem Rządu. Początek dyskusji nad Powstaniem. Godzina „W” na Jasnej 404
- XXXII. Hotel „Victoria” – kwatera „Montera”. Echo z Londynu. Wolność na Świętokrzyskiej. Egzekucja gestapowca. Spotkanie z Pużakiem w fabryce Kamlera 415
- XXXIII. „Grzegorz” udaremnia zamiar opuszczenia miasta. Przydział do „Błyskawicy”. Mówimy do ściany. John Ward – angielskim korespondentem wojennym. Londyn usłyszał „Błyskawicę” 426
- XXXIV. Śmierć „Juli”. Sewastopolski pocisk w „Adrii”. Warszawa pozdrawia walczący Paryż. Z „Monterem” na Grzybowskiej. Tragiczna noc 436
- XXXV. Przeprowadzka do Ericssona. Barykada na Nowym Świecie. Przeprowadzka przez Aleje. Ślub z „Gretą” w Przytulisku. Na tyłach frontu 449
- XXXVI. Zostaję emisariuszem po raz trzeci. Odprawa u „Niedźwiadka”. Droga kanałami przecięta. Kapitulacja. Wielkie i małe tragedie. Losy psa Robaka. Pożegnanie z Warszawą 459

CZĘŚĆ ÓSMA

- XXXVII. Komendant Obszaru Warszawskiego wypowiada posłuszeństwo „Niedźwiadkowi”. W Kielcach. Omyłka. Spotkanie z „Gardą”. „Straciliśmy córkę – witamy syna”. Z „Niedźwiadkiem” w Częstochowie 469
- XXXVIII. Na osi Kraków–Częstochowa–Pruszków. Delegat Rządu przyjmuje odpowiedzialność za Powstanie. Wytyczne „Niedźwiadka”. Okulicki o „Bitwie Warszawskiej” 477
- XXXIX. W Jasnogórskiej Kaplicy. Pod Piotrkowem. Czwarty „Most” odwołany. Witos z bliska. „Zo” przeciera szlak na Szwajcarię. Jeszcze raz w drogę 489

CZĘŚĆ DZIEWIĄTA

XL. Przez Trzecią Rzeszę. Najdłuższy tunel świata. „Grüsse für Brunhilde”. Wigilia w Górach Schwarzwaldu. Komsomolcy spod Orła. „Tam jest wasza ojczyzna”	503
XLI. Długi marsz. Porzuceni przez przewodników. Przygody na granicy. „Z tobą wszędzie”. Aresztowanie. Między wolnością a zgubą. Azyl w Bazylei. Ucieczka z Elisabethstrasse. U mety w Bernie. Wyspa w willi La Vierzonne	511
XLII. Szwajcarskie śledztwo. We wspólnej celi z sowieckim szpiegiem. Przez Lyon i Paryż do Londynu. U celu	525
XLIII. Raport z Warszawy w prasie światowej. Druga intryga mjr. Mortona. Spotkanie i rozstanie z Mikołajczykiem	532
XLIV. Powojenne rozmowy z głównymi aktorami dramatu. Gen. Komorowski i jego wspomnienia. Wyjaśnienia gen. Sosnkowskiego. Depesze przeznaczone dla historii	540
Epilog	551
Dokumenty: depesze, raporty, opracowania	561
Posłowie do trzeciego wydania <i>Kuriera z Warszawy</i> przez Znak	658
Indeks osobowy	661
Spis dokumentów	669
Spis ilustracji	670

Przedmowa

Różne bywają pamiętniki, szczerze i podfarbowane, pretensjonalne i proste, opisowe i psychoanalityczne, czyli egocentryczne. Materiał jest obfity, można więc mnożyć te podziały, dzieląc je przede wszystkim zasadniczo na warte czytania i różnego gatunku makulaturę.

Pamiętnik Jana Nowaka należy bezwzględnie do tych, których przeoczyć nie wolno. Dotyczy spraw dla każdego Polaka najistotniejszych i mówi o nich otwarcie, bez zabezpieczania się przed krytyką z tej lub innej strony. Jest napisany z talentem, który pozwolił autorowi odtworzyć w sposób uderzający atmosferę opisywanych wydarzeń. Wprowadzając siebie na tle nakreślonego obrazu – obraz aktualizuje. Siebie zaś bynajmniej nie wynosi ponad innych. Dbą o to, by być w swym sprawozdaniu rzetelny, a przy tym możliwie dokładny.

Jan Nowak należy do bardzo szczupłego grona kurierów, którzy zdążyli się przedrzeć z kraju pod okupacją hitlerowską do sojuszniczego Londynu i zdać sprawozdanie naszemu rządowi na uchodźstwie. Poznałem go po jego pierwszej udanej przeprawie – uderzyła mnie szybkość jego orientacji w sytuacji politycznej brytyjskiej i naszych polskich trudnościach i kłopotach, a także jasność i precyzja w sprawozdaniach o sytuacji w kraju. Te przymioty zapewniały mu posłuch u naszych brytyjskich gospodarzy. Zapraszano go na rozmowy i zebrania, słuchano uważnie i na ogół przychylnie.

Treść ówczesnych rozmów i dyskusji znajdzie czytelnik przytoczoną szczegółowo w rozdziale książki poświęconym pierwszej wizycie w Londynie. Tę niespotykaną na ogół precyzję zawdzięcza pamiętnik dokumentacji przechowywanej w Studium Polski Podziemnej, Instytucie Polskim w Londynie oraz brytyjskiemu Public Record Office, który po upływie lat trzydziestu udostępnia przechowywane dokumenty. Autor z pomocą żony, kurierki

„Grety” wstawionej w pamiętniku, wykorzystał te cenne źródła, zapewniając wspomnieniom tym mocniej ugruntowaną autentyczność.

Książka Jana Nowaka nie jest antypamiętnikiem siłącym się na nowatorstwo literackie. Swoje przeżycia wojenne przytacza kolejno jako przyczynek do wspaniałej epepei Armii Krajowej. W opisywanych epizodach Jan Nowak jest jedną z osób działających – obok mężczyzn i kobiet, studentów, robotników i kolejarzy – wprowadza ją w tok opowiadania jak gdyby z zewnątrz, każąc czytelnikowi domyślać się swoich przeżyć wewnętrznych i patriotycznego uniesienia, które dla niego jak i dla wszystkich żołnierzy tej armii było źródłem siły.

Opisy poszczególnych, indywidualnych i zbiorowych wyczynów – jak pierwsza wyprawa autora do Szwecji albo lot brytyjską dakotą na polanę pod Tarnowem – są pasjonujące. Przebieg wydarzeń oddał szczegółowo jak w najlepszym dreszczowcu. Im prostsze zaś są słowa opisu, tym bardziej wzruszająca jest aura, która tę opowieść osnuwa.

Pozostała w moich oczach chłopska gromada, popychająca angielski samolot do startu, krzycząca, nie bacząc na oddalonych o kilkaset metrów Niemców – i zaraz potem obrazek chałupy bielonej na błękitno i jej gospodarzy – rzetelnych potomków Piasta Kołodzieja.

W końcowych rozdziałach książki autor zestawia swoje doświadczenia polityczne i dzieli się z czytelnikiem osądem o polskich i obcych politycznych przywódcach. Zatrzymuje się dłużej przy różnicy zdań i polityki Kazimierza Sosnkowskiego i Stanisława Mikołajczyka. Choć trzydzieści kilka lat minęło od opisywanych wypadków – sprawy te dla opinii polskiej nie przeszły jeszcze do historii i są, zwłaszcza na emigracji, przedmiotem polemiki. Pamiętnik Nowaka dostarczy jej paliwa. Przysporzyć by to mu powinno czytelników.

Wiem, że pamiętnikarzowi nie o to chodziło, ani też o zaostrzenie sporów. Chciał dać świadectwo prawdzie, takiej, jaką ją widział. Nie należy zaś w tym względzie do nieśmiałych.

dn. 12 czerwca 1977 r.


Edward Raczyński

Od Autora

Jako emisariusz Armii Krajowej nie wywarłem w czasie ostatniej wojny żadnego wpływu na decyzje polityczne i wojskowe, byłem natomiast naczynym świadkiem, który zetknął się bezpośrednio z czołowymi postaciami polskiego dramatu lat 1943–1944 i oglądał go w chwilach najbardziej krytycznych z dwóch stron: z Warszawy i z Londynu.

Po zakończeniu mojej misji utrwaliłem swe wspomnienia na gorąco, dyktując je angielskiej stenotypistce z przeznaczeniem dla obcego czytelnika. Poniechałem zamiaru wydania książki po angielsku, gdy znalazłem się w zespole, który pomagał generałowi Borowi-Komorowskiemu w zbieraniu materiałów i dokumentów do jego wspomnień. Książka *The Secret Army*, ze względu na osobę autora, najlepiej spełnić mogła zadanie polityczne, jakim było przedstawienie wypadków z polskiego punktu widzenia i przekonanie zachodniego czytelnika o słuszności naszego stanowiska. W późniejszych latach zanadto byłem zajęty chwilą bieżącą, by móc powracać do przeszłości. Stało się to możliwe dopiero z chwilą opuszczenia Radia Wolna Europa. Zachowany długi angielski stenogram, zapiski, notatki, sprawozdania, kalendarzyki, zaproszenia – w połączeniu z dotyczącymi mnie depeszami i dokumentami w Studium Polski Podziemnej, Instytucie im. gen. Sikorskiego i w angielskich archiwach (HM Public Record Office) – pozwoliły na odtworzenie nazwisk, dat, faktów oraz ich chronologii. Mój najbliższy współpracownik z Akcji „N”, Stanisław Witkowski („Żbik”), odbył podróż z Los Angeles do Polski, aby odnaleźć i ustalić losy naszych współpracowników, ich pseudonimy, nazwiska i inne szczegóły. Ogromną pomocą była korespondencja z ludźmi żyjącymi, którzy pojawiają się w tej książce, oraz wspomnienia ogłoszone drukiem. Starłem się uniknąć błędów i nieścisłości nieuniknionych jednak tam, gdzie mogłem polegać wyłącznie na własnej pamięci.



Stanisława „Żbika” Witkowskiego Jan Nowak-Jeziorański poznał podczas realizacji Akcji „N” w 1942 r. Od tej pory „Żbik” stał się jednym z najbliższych współpracowników i przyjaciół kuriera z Warszawy

Kurier czy emisariusz przypomina trochę wystrzelonego w przestrzeń astronautę. On jeden tam w górze skupia na sobie powszechną uwagę, zbiera laury i oklaski, podczas gdy na ten wyczyn składa się mrówcza praca i ofiarny wysiłek tych na dole – zapomnianych i niewidocznych anonimów. Każda moja wyprawa, a licząc oba kierunki, tam i z powrotem, było ich w sumie pięć – stanowiła owoc zabiegów, żmudnych wysiłków i pomysłowości bardzo wielu zapomnianych dziś ludzi. Kilku, torując mi drogę, przypląciło to życiem, inni więzieniem. Aby uzmysłwić czytelnikowi ten złożony mechanizm zbiorowego wysiłku i utrwalić go dla przyszłego historyka, załączone zostały w aneksie niektóre depesze wymienione między odległymi punktami Europy. Odbicie znalazły w nich nie tylko moje własne poruszenia, ale i starania tych, którzy organizowali i przecierali kurierskie szlaki. Załączone zaś wybrane dokumenty i raporty pozwolą czytelnikowi zapoznać się z poglądami autora, które wypowiedane były w czasie rozgrywających się wydarzeń, i porównać je z ocenami formułowanymi w chwili pisania tych wspomnień, a więc po upływie jednej trzeciej stulecia.

Pragnę podziękować wszystkim, którzy w tej pracy przyszedli mi z pomocą. W pierwszym rzędzie mojej żonie, która z największym oddaniem przepisywała kolejne bruliony, wprowadzała poprawki, pomagała w sprawdzaniu danych i w poszukiwaniach dokumentów. Z wielką wdzięcznością myślę o ambasadorze Edwardzie Raczyńskim, który zechciał zaopatrzyć mój pamiętnik w życzliwą przedmowę. Książka ta zawdzięcza bardzo wiele przyjaciołom w kraju, Zofii i Władysławowi Bartoszewskim, oraz Jackowi Taylorowi. Za zapoznanie się z maszynopisem i cenne uwagi wyrażam podziękowanie pp. Lidii i Adamowi Ciołkoszom, dr. Janowi Ciechanowskiemu, który odnalazł większość dotyczących mnie dokumentów w angielskich archiwach, i dr. Józefowi Garlińskiemu.

Nieskończenie cierpliwa i uczynna kol. Halina Czarnocka poświęciła wiele czasu i benedyktyńskiej pracy, szukając dla mnie depesz i raportów w Studium Polski Podziemnej. Z podobną pomocą spotkałem się ze strony p. mgr Reginy Oppmanowej i rtm. Wacława Milewskiego z Instytutu im. gen. Sikorskiego. Wszystkie dokumenty pochodzące z brytyjskiego Public Record Office przedrukowane zostały za zezwoleniem kustosa tych archiwów. Gorące podziękowanie należy się także Andrzejowi Kunertowi za wprowadzenie cennych poprawek do obecnego wydania.

Wahałem się, czy mogę wymieniać z imienia i nazwiska dawnych moich kolegów żyjących w kraju. Z tytułu stanowiska dyrektora Rozgłośni Polskiej RWE byłem od lat przedmiotem kampanii oszczerstw i falsyfikatów. Zadałem sobie pytanie, czy pisząc o moich dawnych powiązaniach w Polsce Podziemnej, nie wystawiam swoich kolegów i towarzyszy na szantaże i naciski. Przeważało przekonanie, że ich nazwiska i zasługi pójdą w zapomnienie, jeśli nie zostaną w tej książce utrwalone.

Pamiętniki ogłaszane bezpośrednio po wypadkach wchodziły w zakres polityki. Pomijać w nich trzeba wszystko, co może dać broń do ręki wrogowi albo stanowi tajemnicę należącą do innych. Wspomnienia spisywane po latach są już tylko historią. Pisząc je, nie szedłem na żadne kompromisy wobec ludzi żyjących albo sympatyków ludzi zmarłych. Chciałem przekazać tym, którzy przyjdą po nas, obraz możliwie pełny, tak jak sam go widziałem, aby z doświadczeń naszego pokolenia mogli wyciągnąć własne wnioski na przyszłość.

CZEŚĆ PIERWSZA

I

W piętnaście lat po wojnie jeden z moich szkolnych kolegów przysłał mi z kraju niewielką broszurkę pt. *Młody las*. Zawierała materiały ze Zjazdu Wychowanków Gimnazjum Adama Mickiewicza w Warszawie.

Po raz pierwszy od 1939 roku zjechali się przedstawiciele roczników przeważnie urodzonych i wychowanych w okresie dwudziestolecia niepodległości. Wzajemna wymiana wieści o losach kolegów zamieniła ten zjazd w jeden wielki apel poległych. Na końcu książeczki umieszczono ich długą listę. Odnajdywałem znajome nazwiska towarzyszy szczenięcych lat, którzy rozbiegli się na wszystkie strony ze starego budynku na Sewerynowku po ostatnim, pożegnalnym, maturalnym przyjęciu. Teraz stawały mi przed oczyma ich młode twarze, gdy odczytywałem nazwiska, przy których jak w litanii powtarzały się te same słowa: rozstrzelany na Pawiaku, powieszony w Oświęcimiu, zginął w Powstaniu na Woli, zginął w ataku na PASTĘ, zginął w bitwie pod Kutnem, zginął na morzu, zginął śmiercią lotnika, zamordowany przez gestapo... zginął w Katyniu... rozstrzelany... powieszony... ścięty... zakatowany... zmarł w obozie... zmarł z ran... zaginał...

Po raz pierwszy uświadomiłem sobie wtedy w pełni, jak straszliwie wytrzebione zostały przez wojnę moje roczniki.

W życiu człowieka jak w mikrokosmosie odbijają się losy całego pokolenia. Tym, którzy przyjdą po nas, trudno będzie znaleźć klucz do historii naszych lat, jeśli nie wczują się w psychikę poprzedników, tak lekko i ochotnie rzucających „na szaniec” własne życie. Szare Szeregi, Kedyw, „Zośka”, „Parasol”, Akcja „N”..., Powstanie Warszawskie – leśne boje – to wszystko miało wspólny rodowód wywodzący się z klimatu, w jakim wyrastał „młody las”, który pokotem położyła wielka wojenna burza.

* * *

Jak daleko sięga pamięć dziecka? Trudno ustalić, jeśli brakuje daty zapamiętanego wydarzenia, które mogłoby posłużyć za punkt zaczepienia. W moim życiu taką datą była noc z Wielkiego Piątku na Sobotę 28 marca 1918, kiedy umarł ojciec. Pamięć czteroletniego dziecka utrwaliła jego obraz, jak zdjęcia

z pietyzmem przechowywane w starym albumie. Kiedy zamknę mocno oczy, widzę go przy stole, gdy trzyma mnie na kolanach, a ja zabawiam się jego długimi wąsami. Widzę, jak rano przed wyjściem do pracy staje w drzwiach dzieciennego pokoiku i, używając zabawnego zdrobnienia imienia Zdzisław, woła: jak się masz, Sisiu! Widzę go rano przy gołeniu, widzę go we fraku, jak wraca z matką z jakiegoś balu.

Nikt nie przyprowadził mnie do niego, gdy ciężko zachorował i gdy umierał. A jednak wyczuwałem, że tej nocy dzieje się coś strasznego: paliły się wszystkie światła, w mieszkaniu panowała niespokojna krzątanina, później usłyszałem okropny płacz matki.

Pamięć dziecka utrwaliła także niektóre historyczne wydarzenia. A więc pamiętam spasionych żołnierzy niemieckich w okrągłych, miękkich czapkach bez daszków, którzy przy wyjściu na peron wystawiali na Dworcu Wiedeńskim przepustki pasażerom wyjeżdżającym z Warszawy; pamiętam oddział w pikielhaubach maszerujący Alejami Ujazdowskimi i balon nad miastem, żołnierzy polskiego wermachtu w ciemnopopielatych mundurach i czapkach z orzełkami.

Z okna balkonu naszego mieszkania na Pięknej, w pobliżu Marszałkowskiej, oglądałem pochód 3 Maja w 1918 roku. Wzruszenie i przejęcie dorosłych sprawiło być może, że pamięć dziecka utrwaliła i ten obraz.

Gdy bolszewicy zbliżali się do Warszawy w 1920 roku, miałem już lat siedem. Pamiętam błagalną procesję na Krakowskim Przedmieściu i zawodzący śpiew ludzkich tłumów. A później tę noc, kiedy spod Radzimina dochodził niepokojący pomruk bitwy. Dalekim odgłosem ognia artylerii odpowiadały cichutkim pobrzękiwaniem kryształowe żyrandole w salonie i szept matki odmawiającej zdrowaśki. Nikt nie spał tej nocy. Atmosfera grozy i niepokoju udzielała się nawet dzieciom.

W chwili śmierci ojca, matka była osobą zamożną, ale zupełnie życiowo niezaradną. Nie umiała sobie poradzić z majątkiem, który składał się z dużej kamienicy na Pięknej i ogromnego placu na Targówku. W czasie inflacji sprzedała jedno i drugie. A ponieważ jedyny sposób utrwalenia kapitału przed spadkiem wartości pieniądza – kupno dolarów – był czynem niepatriotycznym, więc wszystko, co miała, ulokowała w polskich akcjach, które już po roku tyle były warte, że można było co najwyżej ściany nimi wytapetować.

Nagle znaleźliśmy się w biedzie. Matka i babka utrzymywały siebie i nas – dwóch braci, z wynajmowania pokoi i wyprzedawania rzeczy

nagromadzonych przez dobre kilka pokoleń. Odbywało się to w ten sposób, że pewien „zaufany” antykwariusz z ulicy Żurawiej, nazwiskiem Celmaister, wiedziony nieomylnym instynktem zjawiał się zawsze w momencie, kiedy był potrzebny. Po długich i męczących targach kupował za bezcen i wynosił stare szkła, porcelanę, srebra, zegary i obrazy. Starczyło tego na jakiś czas. W późniejszych latach bieda coraz dotkliwiej dawała się we znaki. Poglądy polityczne starszego pokolenia kształtował „Kurier Warszawski”, czytany z nabożeństwem od deski do deski, poczynając od artykułów Strońskiego, a kończąc na nekrologach. Babka i matka głosowały na listę endecką, chociaż ich nacjonalizm, niepozabawiony wprawdzie uprzedzeń, był łagodny i liberalny, wolny na szczęście od wszelkiego fanatyzmu i nienawiści. Środowisko rodzinne różniło się zasadniczo od endeków pod jednym względem. Obóz Dmowskiego potępiał surowo powstania narodowe, a u nas w domu panował kult i tradycja powstań, zwłaszcza Styczniowego. Od dziecka wbijano nam w głowę, że we wszystkich bez wyjątku powstańczych zrywach brali udział jacyś Jeziorańscy, a za czasów Kościuszki prapradziadek sprzedał nawet nieruchomości na Solcu i ufundował oddział jazdy, w którym sam służył. W Pierwszej Brygadzie żadnego Jeziorańskiego nie było, ale za to w armii Hallera jeden z kuzynów, Tadeusz Jeziorański, zdobył *Virtuti Militari*.

Każdy ze starszych miał coś do opowiedzenia z czasów Powstania Styczniowego. Babka od strony matki wspominała ze zgrozą, jak to w zimie 1863 roku, kiedy miała lat siedem, kozacy wpadli w nocy do dworu pod Suchedniowem i wypędziwszy mieszkańców, spalili go na ich oczach. Babka od strony ojca, jako kilkunastoletnia panienka, siedziała na balkonie kamienicy Zamoyskich na Nowym Świecie i na swoje nieszczęście wyciągnęła chustkę do nosa w chwili, gdy na przejeżdżającego ulicą generała-gubernatora Berga rzucono bombę. Jakiś Moskal z jego świty przekonany był, że wyciągnięcie białej chusteczki stanowiło sygnał dla zamachowca. Przerażoną dziewczynkę wywleczono z mieszkania. Przesiedziała kilka dni w Cytadeli. Ojcu jej, Józefowi Kurzenieckiemu, władze rosyjskie skonfiskowały rodzinny majątek na grodzieńszczyźnie za ukrywanie powstańców. Na szczęście był całe życie sknerą, który nie pozwalał w swojej obecności zapalić papierosa zapałką, jeśli na stole paliła się lampa naftowa. Za uciufane grosze kupił sobie po Powstaniu mały folwarczek Piaski pod Łęczycą, gdzie urodził się mój ojciec.

Od małego dziecka uczono mnie zdejmować czapkę na widok weterana 1863 roku. Niektórych, jak Aleksandra Kraushara, Bolesława Limanowskiego

czy Siehenia, znałem z widzenia. Kiedyś u znajomych matka pokazała mi dziewięćdziesięcioletniego starca ze wspaniałą, długą siwą brodą i szepnęła do ucha: „pamiętaj synku, pan Rudomina-Dusiacki był w Powstaniu dowódcą partii na Litwie”.

Ledwo nauczyłem się czytać, gdy jedna z ciotek zaprowadziła mnie pod Krzyż na stokach Cytadeli, gdzie z dumą pokazano mi nazwisko Jana Jeziorańskiego, wyryte obok nazwisk członków Rządu Narodowego z Trauguttem na czele, straconych w tym miejscu na szubienicy. U tej samej ciotki spotykałem córkę powieszonego, Bronisławę z Jeziorańskich Romeyko. Nie pamiętała ojca, który zginął, gdy miała rok, ale przez całe życie nie rozstawała się z grubym wielkim pugilaresem, w którym przechowywała kilkadziesiąt grypsów pisanych przez Jeziorańskiego na bibułkach od papierosów i przemycanych do żony z Cytadeli.

Po stronie ojca matki nikt wprawdzie nie walczył w Powstaniu Styczniowym, ale matka wspominała zawsze z dumą, że jej dziadek i jego brat należeli do „deputacji” obywateli miasta Warszawy, która rządziła stolicą w okresie przedpowstańczych manifestacji i niepokojów.

O Legionach i dawnych walkach o niepodległość mówiło się w domu rzadziej niż o Powstaniu. Mając lat dziesięć przeczytałem książeczkę dla młodzieży *Dzieci Lwowa*. Byłem zafascynowany autentyczną postacią Adama Kalinowskiego, który jako trzynastoletni chłopiec już był żołnierzem, bił się o Lwów i zginął za Ojczyznę. *Dzieci Lwowa* uważałem za najważniejszą książeczkę, jaką przeczytałem, dopóki nie dorwałem się do Sienkiewiczowskiej *Trylogii*. Czytałem ukradkiem w nocy, pod kołdrą przy łątarce, a w dzień w godzinach przeznaczonych na odrabianie lekcji. Czytałem w tramwaju i w klasie szkolnej, nie zwracając najmniejszej uwagi na to, co się działo dookoła. Rezultat był katastrofalny. Na półroczce przyniosłem świadectwo, na którym na jedenaście przedmiotów było aż osiem dwój.

Chodziłem wtedy do Gimnazjum im. Batorego, które miało być szkołą wzorową, wyróżniającą się nie tylko wszelkimi nowoczesnymi urządzeniami, ale także elitarnym poziomem uczniów. Aby zapewnić sobie selekcję tej elity, dyrektor Zdzisław Rudzki zastosował osobiwą i niezbyt pedagogiczną metodę. W ciągu pierwszych trzech lat tych „gorszych” przesunął z klasy A do klasy B, a „lepszych” w kierunku odwrotnym. Po trzech latach klasa B ulegała rozwiązaniu i „gorsi” musieli szukać sobie „gorszej” szkoły. Sienkiewiczowi mam do zawdzięczenia, że znalazłem się wśród „gorszych”

i przeniesiony zostałem do Gimnazjum Adama Mickiewicza, dawniej Konopczyńskiego.

Nie było chyba w Warszawie innej szkoły o takich tradycjach. Założył ją w latach rusyfikacji w roku 1897 emerytowany nauczyciel Emilian Konopczyński. Za moich czasów szkolnych wśród kadry profesorskiej przeważali wciąż weterani, którzy – z dyrektorem Janem Juraszyńskim na czele – stoczyli w początkach stulecia zwycięską walkę o polski język nauczania. Uwielbiany przez młodzież wychowawca naszej klasy, matematyk Jan Wysocki – „Jasio”, jak go pieszczotliwie nazywano – wychował pięćdziesiąt sześć roczników. Zaczynał po strajku szkolnym, w 1907 roku, uczył i wychowywał w ostatnich latach zaboru rosyjskiego, w czasie pierwszej wojny, w okresie niepodległości, w tajnej szkole w czasie okupacji hitlerowskiej, a po drugiej wojnie – w Polsce Ludowej aż do 1963 roku. Zmarł sześć lat później.

Zaraz u wejścia do budynku na Sewerynowku na marmurowej tablicy wyrte były złotymi literami nazwiska profesorów i uczniów poległych w latach 1919–1920. Nauczyciele nie tylko uczyli, ale wychowywali, a niektórzy, jak polonista Jan Zakrzewski, przezwany nie wiadomo dlaczego „matadorem”, albo Zdzisław Wilusz, historyk, syn chłopski, umieli budzić zainteresowanie, nawet pasję do przedmiotów ojczystych.

Nie całe grono nauczycielskie było na tym samym poziomie. W niższych klasach uczył polskiego niejaki Romuald Mańkowski. W trzeciej klasie tematem wypracowania domowego miała być wiosna. Jeden z uczniów zerznął dosłownie opis wiosny z *Chłopów* Reymonta. Wychodził ze słusznego założenia, że nikt nie mógł tego lepiej napisać. Wykazał tym samym niezłą znajomość literatury ojczystej. Gorzej było z profesorem. Zeszyt z wypracowaniem powrócił pełen skreśleń i sarkastycznych dopisków, wytykających na marginesie napuszony i sztuczny styl. Ogólna ocena niedostatecznie. W kilka dni później fotografia zmaltretowanego wypracowania ukazała się w warszawskim czerwoniaku pod wymownym tytułem: „Reymont z *Chłopów* dostał dwójkę”.

Gimnazjum Mickiewicza szczyliło się wychowankami, których nazwiska stały się później głośne. Do naszej „budy” chodził Stefan Starzyński. Na rozkaz policji carskiej musiał ją opuścić w roku 1912 za kolportaż bibuły przemycanej z Galicji. Jako prezydent Warszawy przemianował uroczyście Sewerynowek na ulicę Konopczyńskiego. Gimnazjum Konopczyńskiego, później Mickiewicza, kończył Leszek Serafinowicz, znany jako Jan Lechoń.

Już w szkole zapowiadał się jako wybitny poeta, za to uczniem był kiepskim, a z matematyką i fizyką po prostu nie umiał sobie dać rady. Na dodatek od najmłodszych lat zdradzał skłonności neurasteniczne. W czasie pisemnej matury z matematyki wpadł w panikę – siedział nad otwartym zeszytem, nie wiedząc od czego zacząć. Ocalił go późniejszy dyrektor szkoły Jan Juraszyński, który nachylając się nad najlepszym uczniem matematyki w klasie, szepnął mu do ucha: „Daj Serafinowiczowi ściągaczkę”.

Wychowankowie Mickiewicza z moich roczników zapisali się po wojnie bardzo rozmaicie. Przewodniczącym „kółka historycznego” był starszy ode mnie o kilka lat Adam Rapacki, przyszły minister PRL, syn pioniera polskiej spółdzielczości. Jako uczeń gimnazjalny miał już skryształizowane poglądy polityczne. Przedstawiał się jak zwolennik syndykalizmu sorellowskiego i mawiał, że jest na lewo od PPS. Odcinał się jednak stanowczo od komunizmu w wydaniu stalinowskim.

W mojej klasie zawiązała się piątka przyjaciół złożona z Rysia Matuszewskiego, Jana Kotta, Jerzego Lenczowskiego, Janka Kwiatkowskiego (syna ówczesnego ministra przemysłu i handlu) i mnie. Wojna dziwnie pokierowała naszymi drogami. Kwiatkowski poległ we wrześniu, Lenczowski, który chciał być dyplomata, został po wojnie profesorem w Berkeley, czołowym ekspertem amerykańskim od spraw Bliskiego Wschodu i doradcą wielkich amerykańskich koncernów naftowych. Kott i Matuszewski wybili się w PRL w partii. W październiku 1956 roku Kott stał się jednym z bardziej aktywnych prowodyrów zbuntowanych intelektualistów i studentów i w dziesięć lat później znalazł się na emigracji. Matuszewski, znany krytyk literacki, oddał legitymację partyjną po roku 1968.

Z mojego gimnazjum wyszli także założyciele harcerstwa, wśród nich znany adwokat Czesław Jankowski, rozstrzelany w Palmirach przez Niemców w 1940 roku, ojciec inżyniera Stanisława Jankowskiego, słynnego „Agatona” z AK. Nasza drużyna, warszawska „Trójka”, jedna z najstarszych w Polsce, która obrała sobie za patrona księcia Józefa Poniatowskiego, odegrała także poważną rolę w naszym wychowaniu. To właśnie z tej „Trójki” od Mickiewicza wywodziły się późniejsze kadry Szarych Szeregów, Kedywu, batalionów „Zośki” i „Parasola”. Harcerzem z „Trójki” był mój daleki kuzyn Stanisław Broniewski, przyszły naczelnik Szarych Szeregów, który jako „Stefan Orsza” dowodził słynną akcją pod Arsenalem. Z szeregów „Trójki” wyszedł Stanisław Sosabowski, który jako porucznik „Stasinek” brał udział w udanej

akcji zniszczenia składów benzyny na Gniewkowskiej. Harcerzem z „Trójki” był także najmłodszy dowódca „Parasola” – porucznik „Jeremi” (Jerzy Zborowski), ranny w Powstaniu na Czerniakowie, zamordowany później przez Niemców. Można by tę listę długo jeszcze ciągnąć.

Dziś, kiedy my, ludzie pierwszego pokolenia niepodległej Polski, „wielką przygodę” mamy już za sobą, nasuwają się refleksje, jak wiele zawdzięczam tej warszawskiej „Trójce”. Kto mógł wtedy przewidzieć, że sążone mi będzie jeszcze tylko kilkanaście lat przeżyć w Polsce. O ile uboższa byłaby znajomość własnego kraju wyniesiona na obczyznę, na całe dalsze życie, gdyby nie coroczne wędrownie obozy harcerskie. Żaden opis nie zastąpi bezpośredniego zetknięcia z ludźmi i z krajobrazem. Inaczej ten kraj wygląda z okna pociągu albo z podręcznika geografii, a inaczej, gdy się go przemierza na własnych nogach, wędrując całymi tygodniami z wioski do wioski. Gdyby nie harcerstwo, później służba w wojsku i wreszcie wędrowki po kraju w latach Podziemia – obraz Polski, poznany w bezpośrednim przeżyciu, byłby zawężony do mieszczańskiej inteligencji warszawskiej oraz do wiejskich dworów i dworków bliższych i dalszych krewnych.

Szlak jednej z harcerskich wędrowek prowadził poza granice Polski. Zaczęło się od Zlotu Skautów Słowiańskich w Pradze. Pamiętam, jak oklaskiwani przez tłumy śpiewaliśmy *Wizję Sztyldwacha*, maszerując ulicami Pragi, i pamiętam wielkie ognisko, przy którym około tysiąca harcerzy słuchało gawędy Michała Grażyńskiego. Ówczesny przewodniczący ZHP przypomniał, że w tym samym miejscu nad Wełtawą rozpałały swe ogniska blisko tysiąc lat temu wojska Chrobrego. Wprawdzie nie było w tym przypomnieniu żadnych zaborczych aluzji wobec południowego sąsiada – niemniej jednak Grażyński, który nie lubił Czechów, postanowił – niewątpliwie za zgodą ministra Becka – spłatać im politycznego figla. Po zlocie, w drodze powrotnej, wydzielono grupę około trzystu harcerzy i kazano nam opuścić pociąg Praga–Kraków w Morawskiej Ostrawie. Na dziedzińcu konsulatu RP odbyło się coś w rodzaju wojskowej odprawy. W krótkich słowach przypomniano nam całą historię Zaolzia. „Jesteście na ziemi – mówił konsul – zamieszkaney od wieków przez ludność polską. Tym ludziom, odciętych od Macierzy kordonem granicznym, macie świadczyć waszą obecnością, że Polska o nich nie zapomniła”.

Z Morawskiej Ostrawy w małych grupach po killkunastu rozeszliśmy się na całe Zaolzie. A szlaki nasze tak zostały wytyczone, że żadne miasteczko,

nawet najmniejsza wioska i osada górnicza nie zostały pominięte. Entuzjazm, z jakim nas witano, ogniska harcerskie, które ściągały dosłownie wszystkich – od starców do małych dzieci – wspólny śpiew, wszystko to utkwіło mocno w pamięci.

Grażyński działał przez zaskoczenie. Czesi nie byli uszczęśliwieni, jednak nie bardzo wiedzieli, co robić z całą tą harcerską inwazją. Czescy żandarmi obserwowali nas nieufnie, ale z przyzwoitej odległości. Do żadnych incydentów z władzami nie doszło.

W Pradze napisałem pierwszy w życiu reportaż i byłem dumny jak paw, gdy ogłosił go tygodnik ilustrowany „Siedem Dni”. Zachęcony sukcesem wysłałem po „Operacji Zaolzie” utrzymane w sensacyjnej formie sprawozdanie do krakowskiego „IKC” i znacznie poważniejszy artykuł poświęcony Polakom na Śląsku Zaolziańskim do warszawskiego „Tygodnika Ilustrowanego”. Tak wyglądały moje dziennikarskie debiuty.

Inny obóz wędrowny prowadził przez Podkarpacie. W pogodne noce spaliśmy pod namiotami, a w czasie deszczu w chłopskich stodołach. Po raz pierwszy zetknęliśmy się oko w oko z nędzą małopolskiej wsi. Pamiętam, jak zaszliśmy pewnego skwarne go popołudnia do chłopskiej chałupy napić się mleka. Gospodyni podała nam całą bańkę, a dzieci – było tego drobiazgu chyba sześcioro – zaczęły się drzeć w niebogłoty i płakać.

– Co się stało, dlaczego dzieciaki płaczą?

– Nie będą miały mleka na kolację – odmruknęła kobiecina.

– Dlaczego sprzedajecie mleko, zamiast dać je dzieciom?

– Bo nie mam na zapalki. Jak nie zarobię tych kilku groszy, też będą głodne.

Mleko nagle nabrało gorzkiego smaku. Posypały się z uczniowskich portmonetek złotówki, choć dużo ich sami nie mieliśmy. Kobiecina dziękowała, pochlipując i wycierając oczy fartuchem.

Po powrocie do Warszawy zacząłem rozmyślać. Ile jest takich chłopskich chałup w Polsce, gdzie brakuje mleka i kartofli dla dzieci? Jałmużną nie rozwiąże się problemu. A przecież chodzi o dużą większość ludności, której my, miejska inteligencja, nie dostrzegamy, nie wiemy w ogóle o jej istnieniu. Pod wpływem tych rozmyślań zacząłem snuć pierwsze w życiu społeczno-polityczne, bardzo jeszcze młodzieńcze koncepcje. W wolnych godzinach chodziłem do Biblioteki Publicznej na Koszykowej i zagłębiałem się w lekturze książek poświęconych ruchowi spółdzielczości wiejskiej w Danii.

Zbliżała się matura i trzeba było powziąć zasadnicze decyzje, które przesądzą o całym przyszłym życiu. Rozumowałem wtedy mniej więcej tak: udziałem starszego pokolenia było wywalczenie niepodległości i granic. To była ich „wielka przygoda”, ale to się już nie powtórzy. Zadaniem młodych jest podniesienie Polski z nizu cywilizacyjnego, który oglądałem w czasie naszych harcerskich wędrówek. Polska potrzebuje kadry nowoczesnych, wysoko wykwalifikowanych ekonomistów, a wzorem do naśladowania powinni być tacy ludzie jak Drucki-Lubecki albo – w naszych czasach – Eugeniusz Kwiatkowski.

Kwiatkowski był moim „pozytywnym bohaterem” już od czwartej klasy gimnazjalnej. Z jego synem Jontkiem (tak go zdrobniale w domu nazywano) siedziałem w jednej ławce. Z czasem staliśmy się nierozłącznymi przyjaciółmi. Jego ojca poznałem wkrótce po tym, gdy został ministrem przemysłu i handlu. Miał wtedy lat 38, a ja 13. Od pierwszej chwili imponował mi niesłychanie. Zdobywał sobie ludzi, zwłaszcza młodych, porywającym entuzjazmem, żywością umysłu i cudownym darem wysłowienia. Schlebiał mi niesłychanie, że oto wielki dygnitarz, członek rządu, o którym głośno w prasie i w radiu, potrafi mnie, szczeniakowi, cierpliwie tłumaczyć, dlaczego na przykład nie należy dewaluować złotego.

Jednego tylko nie mogłem u Kwiatkowskiego zrozumieć. Jego bałwochwalczego stosunku do Piłsudskiego. Niechęć do Marszałka, wyniesiona z domu, pogłębiła się po słynnym epitecie „fajdanitis poslinis” w przemówieniu przeciwko opozycji poselskiej. Uważałem, że obraził nim cały naród.

Zrozumiałem lepiej stosunek piłsudczyków do ich Komendanta, gdy po raz pierwszy zobaczyłem go z bliska. Państwo Kwiatkowscy zabrali mnie kilka razy na trybunę rządową w czasie rewii 11 Listopada, najprzód na placu Saskim (po latach dopiero przemianowanym na plac Piłsudskiego), później na Polu Mokotowskim, i do Filharmonii na premierę filmu *Pan Tadeusz*, na którą przybył Marszałek.

Wrażenie, gdy zobaczyłem po raz pierwszy z odległości kilku kroków Piłsudskiego i usłyszałem jego głos, było ogromne. Stałem w pobliżu grupy ludzi, wśród których znajdowali się ministrowie, generalicja, marszałkowie sejmu i senatu. Przed nami defilada świetnie prezentujących się oddziałów kawalerii, piechoty, artylerii. Tego wszystkiego nie widziałem. Dla mnie istniała w tym momencie tylko ta jedna, raczej drobna postać stojąca na wysuniętym do przodu podwyższeniu. Nie odrywałem od Piłsudskiego wzroku ani na chwilę, a gdy wmieszał się po rewii w tłum dygnitarzy, starałem

się uchwycić każde jego słowo. I to urzeczenie powtarzało się później, ilekroć widziałem go z bliska.

Skąd się to wzięło? Czy sprawiła to legenda otaczająca Marszałka, który bardzo rzadko pokazywał się ludziom publicznie? Czy może niezwykłość stroju – strzelecki, szaroniebieski mundur i maciejówka? Zdjęcia i podobizny Piłsudskiego widziało się na każdym kroku. Patrzył z nich człowiek o marsowym obliczu i ściągniętych brwiach. A tu z odległości kilku kroków widziałem Piłsudskiego, który miał jasnoniebieskie, pogodnie patrzące oczy, często się uśmiechał, mówił zabawnym wileńskim akcentem i przejawiał w swoim sposobie bycia jakąś dziwną miękkość, właściwą ludziom z naszych dalekich kresów. Miękkość być może pozorną, lecz zniewalającą.

* * *

Wychowanek Gimnazjum Mickiewicza Jan Dobraczyński tak w swoich wspomnieniach opisał nastrój maturzysty opuszczającego progi swojej szkoły:

Majowy wonny zmrok otulał Sewerynowek, gdy wychodząc, zatrzymałem się na kamiennych schodkach. Z sąsiednich ogródków, ciągnących się aż do Wisły, były odurzające zapachy kwitnących drzew. Od Kopernika klekotały kopyta końskie i czasem sapiąc, przejechał samochód. Dławiąc się radością, myślałem o najdłuższych wakacjach, jakie miałem rozpocząć...¹

Nie można było lepiej oddać tego nastroju, w którym i ja także opuszczałem po maturze starą, kochaną budę na Sewerynowku. Przede mną były nie tylko te najdłuższe wakacje, ale całe życie. Przyszłość nęciła wielką nieświadomą, którą przyniosą późniejsze lata. Wszystko wtedy wydawało się możliwe.

Zacząłem pomaturalne wakacje od wizyty u Kwiatkowskich w Mościcach pod Tarnowem. Twórca Gdyni wycofał się na kilka lat z rządu i objął dyrekcję nowej, największej i najnowocześniejszej fabryki związków azotowych. Powiedziałem mu, że chcę studiować ekonomię polityczną. – W takim razie – doradzał – niech pan jedzie na studia do Taylora w Poznaniu.

¹ Jan Dobraczyński, *Tylko w jednym życiu*, Warszawa 1970, s. 50.

Miałem w ministerstwie kilku młodych ekonomistów, którzy wyszli z jego szkoły. Niestety jedyny wydział, a raczej podwydział, ekonomiczny istnieje w Poznaniu. Za mało na nasze potrzeby.

Zastosowanie się do tej rady, którą natychmiast przyjąłem, napotkało nieoczekiwane trudności. Matka i babka wyprzedały się już ze wszystkiego, co miały, by przepchnąć starszego brata przez studia, a mnie przez szkołę. Pod koniec zabrakło już nawet na wykupienie z zastawu rodzicielskich obrączek. Nie było żadnych środków na wyższe studia w Poznaniu. Działo się to w roku 1932, Polska osiągnęła dno kryzysu gospodarczego i szczytowy punkt bezrobocia. Zdobycie pracy zarobkowej przez świeżo upieczoną maturzystę w obcym mieście wydawało się prawie niemożliwe. Na razie jednak chodziło o to, by zdobyć pieniądze na wyjazd do Poznania, zarejestrowanie się w dziekanacie, zapłacenie wpisowego i powrót do Warszawy. O pracę zarobkową w Poznaniu można było martwić się później. Tymczasem zbliżał się ostateczny termin wpisu na uniwersytet. Wylczyłem z ołówkiem w rękę, że na bilet, wpisowe i nocleg w Domu Akademickim potrzebuję 48 złotych. Tych 48 złotych znikąd jakoś nie mogłem zdobyć. A tymczasem do 16 września pozostały tylko trzy dni.

Ambicja nie pozwalała zwracać się do ludzi o pożyczkę, która w gruncie rzeczy musiała być darowizną. Telefonuję więc do stryja, jedyne go człowieka, którego mogłem o to prosić. Odpowiada służąca: „Pana nie ma, wraca za tydzień”.

Odkładam słuchawkę zrezygnowany. Nici z moich planów. W tych dniach właśnie przeprowadzaliśmy się z ulicy Wilczej na Okólnik. Jak to zwykle bywa przy przeprowadzkach, różne rupiecie powyciągane z głębi szuflad, zapomniane i nigdy nieoglądane, walały się dookoła. Zatrzymałem wzrok na pudełku od cygar zabitym gwoździkami. Zerwałem wieko. W środku były pamiątki po ojcu: pędzel do golenia i brzytwa, szczyryk, binokle, pióro i cała masa innych bezwartościowych drobiazgów. Uwagę moją zwrócił jednak mały płócienny woreczek. Biorę go do ręki. Jest zaszyty. Pod palcami wyczuwam coś nieforemnego. Szybko rozrywam płótno... znajduję w środku wyschniętą na kamień grudkę chleba, grudkę soli i... Jezus Maria – spory dukat z Matką Boską, tradycyjny prezent, który rodzice panny młodej ofiarowywali każdemu z młodożeńców. Bez sekundy namysłu wylatuję z domu, przeskakując po kilka schodów naraz. Pędzę do najbliższego banku. Wiem, że banki skupują każdą zaoferowaną ilość złota. Dopadam

okienka. Flegmatyczny urzędnik rzuca dukata ojcowskiego na wagę, po czym informuje:

– Czterdzieści osiem złotych!

O mało nie zemdlałem ze wzruszenia. To chyba ojciec pomógł mi w ostatniej chwili. Już następnego dnia meldowałem się u dziekana i załatwiałem formalności na Uniwersytecie Poznańskim.

II

Od chwili gdy ojcowski dukat opłacił mi podróż do Poznania i umożliwił studia w obranym kierunku, wydawało się, że jakaś niewidzialna ręka otwiera przede mną po kolei wszystkie drzwi. Młodym maturzystą, który mając na miejscu w stolicy wyższe uczelnie, wyprawia się na naukę do innego miasta, by studiować ekonomię, zainteresował się z miejsca Edward Taylor. Profesor pochodził ze szkockiej rodziny, która podobnie jak Sienkiewiczowski Ketling osiedliła się w Polsce w XVII wieku. W którymś tam pokoleniu zachował jeszcze typową powierzchowność angielskiego squirea. Jego sucha, pociągła twarz przypominała portrety Anglików z początku ubiegłego wieku. Był nie tylko najwybitniejszym z naszych żyjących teoretyków ekonomii, ale także głębokim myślicielem i świetnym pedagogiem. Przed uczniami, którzy umieli zdobyć się na wysiłek przedarcia się przez jego niełatwy styl – odsłaniały się nagle nowe i dalekie horyzonty, jak po wspinaczkę na stromy szczyt górski.

Taylor zaopiekował się mną od pierwszej chwili i od początku namawiał, by sposobić się do kariery naukowej. Przez pierwszy rok musiałem sam dawać sobie radę, zarabiając na życie w kancelarii notariusza Jarosława Garlińskiego, ojca Józefa, późniejszego żołnierza i historyka AK. Przez dalsze lata studiów przeszedłem dzięki stypendium państwowemu, o które wystarał się profesor. Po otrzymaniu przeze mnie dyplomu i odbyciu służby wojskowej Taylor zrobił mnie swoim starszym asystentem. Zaraz po uzyskaniu doktoratu miałem iść w ślady mego poprzednika w seminarium ekonomicznym Witolda Trąmpczyńskiego – i wyjechać na studia

na Zachód jako stypendysta Rockefellera. Dalszym etapem miała być docentura i wykłady. Nic nie wskazywało, by na tej drodze mogły się wyłonić jakieś przeszkody.

W końcu sierpnia 1939, w momencie gdy z wezwaniem mobilizacyjnym w kieszeni zamykałem na klucz szufladę, na której dnie spoczywały pierwsze rozdziały pracy doktorskiej „Cykl koniunktury gospodarczej w Polsce 1929–1936”, i opuszczałem dawny budynek Raiffeisena, mieszczący Seminarium Ekonomiczne, nie przyszło mi w ogóle na myśl, że to na zawsze i że ten rozdział życia, zapowiadający się tak obiecująco, nie będzie miał w ogóle dalszego ciągu. Owszem, odczuwało się przyjemne podniecenie na myśl o tym, co się zbliża, ale miał to być tylko krótszy albo dłuższy burzliwy epizod, po którym wszystko wróci na dawne tory i przerwany bieg życia będzie można podjąć dalej. Z profesorem żegnałem się jak przed wyjazdem na ćwiczenia wojskowe.

W pociągu Poznań–Warszawa i w samej stolicy panowało prawie radosne podniecenie. Miałem dosyć czasu, by zatrzymać się na jeden dzień w Warszawie, pożegnać się z matką, babką i bratem. Wszyscy byli dobrej myśli, nikt się nie martwił. Zaszedłem do pałacu Myślewickiego w Łazienkach, gdzie mieszkał ówczesny wicepremier i minister Skarbu – Eugeniusz Kwiatkowski. Jego syn Jontek, student ostatniego roku Politechniki, odbywał właśnie służbę w 1. Pułku Artylerii Najcięższej w Górze Kalwarii. Był także w domu na przepustce.

Ku memu zdziwieniu nastrój Wicepremiera, którego zaraźliwy entuzjazm szedł zawsze w parze z radosnym optymizmem – tym razem odbiegał od ogólnej atmosfery i sloganów oficjalnej propagandy w rodzaju: „Swego nie damy – napastnika odeprzemy”.

Kwiatkowski mówił zwykle chętnie i dużo, ale zawsze uważał, by nie zdradzić tajemnic państwowych. Tym razem zaskoczył otwartością, z jaką oceniał sytuację.

– Jeżeli dojdzie do agresji – mówił – pierwsze tygodnie będą ciężkie. Utracimy znaczną część terytorium, zanim nas odciąży ofensywa na zachodzie. Chodzi głównie o to, by wokół napaści na Polskę rozpętać taniec ogólnoeuropejski. Lepiej znaleźć się w położeniu Belgii w roku 1914 niż Czechosłowacji w 1938. Na dłuższą metę Niemcy nie wytrzymają naporu Anglii i Francji wspartych potęgą przemysłową Stanów Zjednoczonych.

– Czy to znaczy, że nasze własne szanse obronne przedstawiają się nie najlepiej? – zapytałem nieśmiało, niepewny, czy w ogóle dostanę odpowiedź.

– Stanu uzbrojenia armii nie znam – przyznał otwarcie Kwiatkowski – bo wojsko ze zrozumiałych względów trzyma te rzeczy w tajemnicy nawet przed rządem. Nie musi być najgorszy, skoro Inspektorat Sił Zbrojnych pozwala na wywóz sprzętu wojennego krajowej produkcji. Ale potencjał naszego przemysłu zbrojeniowego nie wytrzymuje żadnego porównania z niemieckim. COP znajduje się dopiero w powijkach.

Po raz ostatni w życiu widziałem wtedy Ministra i jego syna, najbliższego przyjaciela z ławy szkolnej. W miesiąc po tej rozmowie Wicepremier był uchodźcą internowanym w Rumunii. Na jego oczach runęło wszystko, co budował z tak wielkim rozmachem i wysiłkiem. Ze wszystkich strat osobistych, jakie na niego spadły, najboleśniejszą była śmierć Jontka – jedynego syna, o którym mówiono, że zapowiada się jako drugie, poprawione wydanie ojca. Zginął pod Włodawą w okolicznościach wyjątkowo tragicznych. Pełnił funkcję łącznika i jeździł na zdobyczym motocyklu. Dwaj polscy wartownicy, słysząc w nocy charakterystyczny terkot niemieckiej maszyny, oddali w ciemności strzały. Trafiony dwoma kulami w serce, Jontek zginął na miejscu. Minister Kwiatkowski w jednym jedynym liście, jaki otrzymałem od niego w czasie wojny z wygnania w Rumunii, pisał: „zgasło słońce mego życia”.

* * *

Kiedy w stopniu plutonowego podchorążego meldowałem się w Dubnie, 2. Dywizjon Artylerii Konnej (DAK) zajmował już bojowe stanowisko gdzieś niedaleko Częstochowy – na wprost granicy niemieckiej. W opustoszałych koszarach gromadzono przybywających rezerwistów. Gdy w piątek 1 września 1939 jak zawsze wyszedłem wczesnym rankiem na śniadanie do kasyna – ujrzałem biegnącego naprzeciw podchorążego Moczulskiego. Już z dala, wymachując rękoma, wołał do mnie radośnie: „zaczęło się... wojna... zaczęło się o piątej rano!”.

Nikt z nas nie zdawał sobie sprawy, że w tym momencie przekraczamy próg, który przecina życie na dwoje, zamykając powrót do wszystkiego, co było dotychczas. Krótco trwał nastrój radosnego podniecenia rozbudzonego myślą, że historia znowu puka do drzwi, a wypadki wciągają w wir wielkich przeżyć. Trzy dni włókł się bombardowany przez Luftwaffe transport

wojskowy, zanim znaleźliśmy się w ośrodku zapasowym artylerii konnej w Zamościu. Stare forty i koszary ledwie mogły pomieścić około 700 rezerwistów ściągniętych z całego kraju. Ośrodek miał tylko dwa działa, nie było więc mowy o żadnych ćwiczeniach i sposobieniu się do walki. Skazani na przymusową bezczynność oglądaliśmy jako bierni widzowie koszmar następnych dni. W czasie nalotów ludność i żołnierze szukają w panice schronienia w fortach, gdzie prócz bomb grozi dodatkowo zawalenie starych stropów. Są pierwsze ofiary w naszym gronie. Patrzymy na niekończące się kolumny uchodźców i wojska, rządowe limuzyny uchodzących z Warszawy dygnitarzy, konwoje ewakuowanych ze stolicy urzędów i resortów. Więści o zajęciu Katowic, Poznania, Krakowa, Łodzi spadają jedna za drugą tak szybko, że pogrążają nas w stan jakiegoś odrętwienia.

Jak w złym, chaotycznym śnie gubimy rachubę czasu i nie pomnę już, w którym dniu dotarła wiadomość, że Niemcy przekroczyli Wisłę i zbliżają się do Zamościa z dwóch kierunków: od zachodu i południa.

Zaczynamy się burzyć. Czy mamy tu czekać, aż nas jak barany wezmą na powrozy i popędzą do niewoli? Żeby chociaż była broń i dało się zorganizować jakikolwiek opór!

W końcu zapadła decyzja ewakuowania Ośrodka. Oczywiście pieszą kolumną, bo żadnych środków lokomocji nie mamy. Jaki taki ład organizacyjny uległ zupełnie rozprzężeniu, gdy tylko kolumna marszowa wyszła za miasto. Główna droga na Hrubieszów zalana była uciekinierami wędrującymi pieszo, na wozach, na rowerach. Przez bezładny, pieszy tłum usiłują przedzierać się zorganizowane oddziały wojska wycofywane w kierunku wschodnim. Staje się oczywiste, że w tym chaosie zapasowy Ośrodek wkrótce przestanie istnieć jako zorganizowana jednostka.

Ktoś z grupki najbliższych kolegów wysuwa własny plan. O kilka kilometrów znajduje się majątek jego ojca. Dostaniemy tam wóz i dobre konie. Bocznymi drogami łatwiej będzie przedostać się nad Bug. Jeżeli rzeczywiście, jak twierdzi dowództwo Ośrodka, organizuje się tam jakaś linia oporu – zgłosimy się po przydział do pierwszego napotkanego oddziału. A jeśli to bujda, będziemy się pchali w kierunku granicy węgierskiej albo rumuńskiej. Byłe nie dostać się do niewoli bez oddania choćby jednego strzału. Nie namyślamy się długo. Już następnego ranka z dworu państwa G. wozem zaprzężonym w dwa najlepsze konie ruszamy polnymi drogami w stronę najbliższego mostu na Bugu. Na chwilę wraca dobry nastrój.

Wydaje nam się, że przeżywamy rozdział *Ogniem i mieczem*, kiedy to Zagłoba przedzierał się z Halszką przez kraj zalany pożarem wojny kozackiej. Na drugą stronę Bugu przedostajemy się przez most pod Uściługiem. Znałem te strony doskonale z czasów służby w podchorążówce w pobliskim Włodzimierzu. Wiadomości o próbach zorganizowania jakiegoś oporu na linii rzeki nie były, jak się okazało, całkowicie wysane z palca. Po obu stronach mostu widać zamaskowane gniazda karabinów maszynowych. Domy wzdłuż rzeki obsadzone sporą ilością wojska. Na głównej drodze przecinającej miasteczko widać było działa ustawione na stanowiskach ogniowych do strzelania na wprost, w kierunku mostu. Meldujemy się pierwszemu napotkanemu oficerowi, który prowadzi nas do pułkownika Józefa Zawisłaka. O ile mogliśmy się zorientować, organizował on grupę operacyjną na własną rękę. Robił to w ten sposób, że zatrzymywał na moście uzbrojone oddziały wycofujące się na wschód i jeśli nie miały wyraźnego przeznaczenia i przydziału, brał je z miejsca pod swoją komendę, każąc zajmować wyznaczone stanowiska.

– Zameldujcie się u kapitana Herdegena – rozkazał krótko Zawisłak po wysłuchaniu naszego meldunku. Ucieszyłem się, usłyszawszy to nazwisko. Witold Herdegen był oficerem artylerii konnej. Nie pamiętam, czy poznałem go w DAK-u czy jeszcze we Włodzimierzu.

Herdegen objaśnił nam krótko sytuację. Dysponuje sześcioma działami i ma pełną obsadę sześciu działonów. Jesteśmy mu potrzebni jako rezerwa na wypadek strat w ludziach pierwszego rzutu. Działa rozmieszczone są wzdłuż rzeki i dwa przed kościołem. Ukształtowanie terenu jest w tym miejscu wyjątkowo dogodne dla obrony: wschodni brzeg rzeki, prostopadle spadzisty, wznosi się o dobre kilkanaście metrów nad równiną na zachód od Bugu. Widać stąd jak na dłoni rozległą połąć kraju ciągnącą się daleko aż po linię lasu.

– Długo im się nie oprzemy – mówi Herdegen – ale strzelając ogniem na wprost, wyrządzimy duże szkody. Oficerów i żołnierzy możemy mieć, ilu chcemy. Wystarczy wysłać żandarmów na drogę i zatrzymać. Brakuje dział, sprzętu i amunicji. Nie mam nawet porządnej lornetki.

Fala uciekinierów i wojska płynąca przez most na Bugu przez całą noc urywa się nagle. W dole, na drodze zupełna pustka. W końcu ukazuje się z dala polski samochód pancerny, przed nim na motocyklu dwóch rozbrojonych Niemców w hełmach. Pierwszy raz oglądamy niemieckich jeńców. Wpadli w ręce naszej wysuniętej czujki. Przesłuchuje ich natychmiast sam

Zawiślak. Są Austriakami ze zmotoryzowanej dywizji z Wiednia. Dywizja posuwa się w kierunku Bugu, nie oczekując tam oporu. Rozpoznanie lotnicze przekazało tylko meldunki, że mosty są nienaruszone, drogi zapchane przez uchodźców. Wkrótce wracają inne nasze czujki i oddziały zwiadowcze. Wszystkie meldują zbliżanie się nieprzyjaciela w kilku kolumnach samochodowych posuwających się w kierunku na Uściług.

15 września około 9 rano pojawiają się w dużej odległości niemieckie kolumny samochodów transportowych – jak zapowiedziano – z kilku kierunków. Herdegen obserwuje przedpole przez przedpotopową lornetkę, którą poprzedniego dnia zabraliśmy jakiemś gajowemu z tłumu uciekinierów. Widać przez nią samochody pokryte ciemnym brezentem i ciągniki z lekkimi działami. Na razie Uściług milczy. Dopiero gdy czoło kolumny zbliżyło się na odległość kilometra, zaczynają grać ciężkie karabiny maszynowe. Równocześnie odzywa się telefon polowy: otwierajcie ogień na wprost. Trafic ogniem na wprost na odległość tysiąca metrów to nie sztuka. Prawie każdy pocisk trafia w cel. Niemieckie samochody rozlatują się jak pudełka zapalek. Kolumna zatrzymuje się. Niemcy wysypują się z wozów na prawo i lewo, rozpraszając się w polu. Ciągniki z działami zjeżdżają z drogi, usiłują zawrócić pętlą w polu, nie odprzodkują, lecz jadą polami do tyłu w poszukiwaniu zasłony. Dwa czy trzy utknęły w rowach przydrożnych. Bierzymy je natychmiast na cel. Wybuch pocisku unieruchamia na dobre jeden za drugim. Po dziesięciu minutach odzywa się artyleria niemiecka. Pociski nie biją w ziemię – rozrywają się o kilka metrów nad nami. Niemcy strzelają więc na razie szrapnelami na rozprysk, które są niebezpieczne tylko dla celów żywych. Moja skromna wiedza wojskowa wyniesiona z podchorążówki wystarcza, by zorientować się, że zabawa nie potrwa długo. Wprawdzie nasze działa są dobrze zamaskowane, amunicja schowana w ziemiankach, ale przy strzelaniu na wprost błysk zdradza stanowisko ogniowe. Z chwilą gdy wejdzie do akcji artyleria ciężka, wykończą nas w ciągu kilku minut. Żeby chociaż więcej było naszych dział – można by im zgotować solidne pranie ogniem pośrednim, jak się należy, spoza zasłony. Na razie nie przejmujemy się szrapnelami i rozwalamy niemieckie samochody jeden za drugim. Są zresztą puste – piechota szeroko rozproszona w polu. Nasz celowniczy dostaje szrapnelem w plecy. Zabierają go jęczącego i krwawiącego na punkt opatrunkowy na tyłach. Jego miejsce zajmuje natychmiast podchorąży z naszej gromadki. Po chwili Herdegen zbliża się do mnie.

– Panie podchorąży, nasze działo po drugiej stronie Ługu milczy od czterdziestu pięciu minut. Może dostali po głowie, a może uciekli. Weźmie pan ze sobą czterech ludzi, pójdzie pan do nich, zobaczy, co się z nimi stało. Jeżeli ludzi nie ma – uruchomi pan działo. Amunicji powinno być na miejscu dosyć. I jeszcze jedno. Niech się pan nie waży iść brzegiem rzeki. Obejdzie pan miejscowość od tyłu.

Uliczki Uściługu, na razie wciąż ostrzeliwanego tylko szrapnelami, były zupełnie opustoszałe. Ludzie pochowali się, gdzie mogli: w piwniczkach i ziemiankach. Tylko kilka chłopskich koni, oszalałych z przerażenia, galopowało z jednego końca ulicy w drugi. Po ich zadach i bokach ciekły wąskie strumyki krwi od ran zadanych szrapnelami.

Uściług wziął swoją nazwę od ujścia rzeczki Ług, która na południowym krańcu miejscowości dość głębokim wąwozem spływa do Bugu. W niewielkiej odległości, po drugiej stronie Ługu, ciągnął się wzdłuż urwistego brzegu rzeki rząd zabudowań chłopskich. Tam właśnie mieliśmy dotrzeć. Obchodzimy szerokim kołem opustoszałe miasteczko, jak przykazał Herdegen, przedostajemy się przez wąwóz i przez rzeczkę zaroślami przechodzącymi chwilami w gęsto zadrzewiony teren i zmierzamy w kierunku przysiółka. Zatrzymujemy się na skraju niewielkiego gaju. Od chałup, gdzie ma się znajdować nasz działon, oddziela nas rozległe rżysko. W tym momencie jeden z żołnierzy woła z przerażeniem:

– Panie podchorąży – Niemcy! Pokazuje w lewo, gdzie w odległości około pięciuset metrów od nas droga przecina pole łagodnie pochylone w stronę wąwozu. Nic nie widzę.

– Przyśniło wam się czy co! – krzyczę. – Tu nie ma żadnych Niemców. Inni jednak potakują. Przed chwilą widzieli za drogą kilka hełmów. Tam musi leżeć jakiś oddział. Postanawiam odczekać kilka minut. Zaczyna mnie zastanawiać cisza w zagrodach o sto kroków przed nami. Tam był nie tylko nasz działon, ale spora ilość wojska. Skąd ta cisza?

Po kilku minutach jestem zdecydowany. Nie będę tolerował tchórzostwa. Wyciągam z futerału mojego waltera i mówię stanowczo:

– Żadnych Niemców tu nie ma. Zdawało wam się. Skaczemy przez pole. Biegam za mną!

Wybiegam z zarośli, nie oglądając się, pewny, że pociągnę za sobą tamtych czterech. Jestem już w połowie pola – żaden z żołnierzy nie ruszył się. W tym samym momencie słyszę koło uszu bzyknięcie jedno, drugie, trzecie.

Rzucam spojrzenie w lewo – tam daleko za drogą podnosi się z pola niemiecka tyraliera. Biegnę w kierunku najbliższej zagrody. Byle dopaść do zabudowań. Jeszcze tylko kilkadziesiąt metrów. Kule biją w pole dookoła, wyrzucając w powietrze pył zeschniętej ziemi. Nietknięty dopadam płotu i przesadzam go z rozmachem sportowca, którym nigdy w życiu nie byłem. Jestem na podwórzu chłopskiej zagrody. Nie mam sekundy do stracenia. Bez chwili namysłu daję nura w stertę, a raczej w sporą kupę słomy w kącie podwórza, gdzie mur styka się z chałupą. Jeszcze nie zdążyłem się dobrze zagrzebać, a już Niemcy są na podwórzu. Nie widzą mnie, więc pędzą dalej w pościgu za żołnierzem, który przed minutą przebiegł im przez pole. Jeden z nich, biegnąc, następuje na moją stertę. Czuję na piersi ciężar żołnierskiego buta.

Robi się na chwilę pusto, lecz po kwadransie znowu słyszę niemieckie głosy. Są z powrotem na podwórzu, ale tym razem to już nie pościg. Nic nie widzę, ale z gorączkowych słów komendy zaczynam domyślać się, że w odległości kilkunastu kroków ode mnie Niemcy montują gniazdo cekaemu. Po paru minutach rozlegają się odgłosy długich serii. Z drugiej strony Ługu przychodzi natychmiastowa odpowiedź. Aha, nasi nie dali się jednak zaskoczyć.

Usiłuję odtworzyć sobie, co zaszło. Niemcy poprzestali z początku na artyleryjskim ostrzeliwaniu Uściługu z przodu, a równocześnie przerzucili pewno most pontonowy o kilka czy kilkanaście kilometrów na południe od miasteczka, by obejść nas z flanki. Nasi, którzy tu siedzieli, musieli się zorientować, że idzie na nich duża siła, i postanowili wycofać się do miasteczka za wąwóz i za rzeczkę Ług, skąd łatwiej było się bronić. Nastąpiło to zapewne w tym samym czasie, gdy ja – zgodnie z rozkazem – obchodziłem mięscinę od tyłu. Prawdopodobnie po wzajemnej wymianie ognia Niemcy pójdą przez wąwóz dalej, by wyprzeć nas z Uściługu i zabezpieczyć sobie przeprawę przez Bug. Na razie podwórze wciąż jest ich pełne.

Zaczynam rozmyślać nad możliwościami ucieczki. Postanawiam przetrwać w tej pozycji do zmroku. Pod osłoną nocy może mi się uda przeczołgać w zarośla i wrócić do naszych do Uściługu. Można także próbować przedostać się do Włodzimierza.

Po kilku godzinach niemieckie głosy oddalają się. Cekaem przesunięto gdzie indziej. Niestety pod wieczór Niemcy wracają. Nad słuchuję, co to ma znaczyć, i zaczynam kląć w duchu. Będą nocować tu, w chałupie i w stodole. Że też nie mogli sobie znaleźć innego miejsca. Ucieczka nie będzie łatwa.

Zmierch już zapada. Nagle słyszę żołnierskie kroki zbliżające się wprost ku mojej kryjówce. Niemiec, prawie dotykając mnie, zagarnia oburącz sporą naręcz słomy i odchodzi. Nie ma teraz sekundy do stracenia. Szkopy przygotowują sobie podściółki do spania. Zaraz przyjdzie następny. Jeżeli będę uciekał przez podwórze, zostanę niechybnie zastrzelony na miejscu. Jedyna droga to skok przez mur. Przypominam sobie, że rano skakał przez ten mur – co prawda z rozpędu – Niemiec, który mnie ścigał. Usiłuję sobie przypomnieć, jak wysoka jest przeszkoda, gdy nagle mam szkopa znowu nad sobą. Chce zagarnąć słomę i natrafia na mnie rękoma. Wrzask przerażenia. Odpychając go z całej siły, wyskakuję ze sterty i skaczę w górę, usiłując chwycić się rękami krawędzi muru. Nie udaje się, mur jest za wysoki. Upadam na wznak. W okamgnieniu mam na sobie siedzących okrakiem Niemców, którzy drą się wniebogłosy. Z chałupy wysypują się inni i biegną na pomoc. Przygniatają mi ciężko nogi i ręce do ziemi. Krzyczą wściekle jeden przez drugiego, dostaję kopniaka w bok butem, od czego tracę na chwilę oddech, jestem pewny, że za chwilę zdeptają mnie albo zastrzelą. Otrząsnąwszy się z zaskoczenia i przerażenia, Niemcy, a raczej Austriacy, podnoszą mnie z ziemi i prowadzą do chałupy. Zabrano mi oczywiście rewolwer i wszystkie kieszenie opróżniono. Mniejsza o rewolwer, żal zegarka – pocziwej starej, srebrnej omegi, wielkiej „cebuli”, która była pamiątką po ojcu.

Tamci ochłonęli do reszty i przyglądają mi się z zainteresowaniem. Moja znajomość niemieckiego jest mocno ograniczona, ale znalazł się student z Wiednia, który mówi niezłe po francusku. Zarzucają mnie pytaniami. Skąd się tu wziąłem? Co chciałem zrobić? Od kiedy tu jestem?

Po chwili przyniesiono mi manierkę gorącej zupy i kawałek żołnierskiego chleba. Austriacy to nie to samo co Niemcy – pomyślałem – zachowują się wobec jeńca jak ludzie cywilizowani. Ku mojej radości zwrócono mi nie tylko dokumenty i portfel z pieniędzmi, ale nawet ukochany ojcowski zegarek i furazerkę znaną w słomie. Po godzinie trzech uzbrojonych żołnierzy odprowadziło mnie do transportowego samochodu czekającego na drodze. Noc była jasna od łuny. Uściług stał w płomieniach. Nie dochodziły stamtąd żadne odgłosy walki. Przejechalśmy na drugą stronę rzeki mostem pontonowym. Stały tam jeszcze kolumny samochodowe ostrzeliwane przez nas poprzedniego dnia. Do rowów zwalono kilkanaście zniszczonych naszymi pociskami samochodów. Tu i ówdzie rozrzucone były metalowe części i poszarpane kawałki brezentu. Kazano mi usiąść na ziemi przy drodze i nie ruszać się z miejsca.

Byłem tylko w drelichu. Po ciepłym dniu przysłała chłodna wrześnieowa noc. Ziemię pokryła rosa. Trząsałem się cały i kłapałem zębami z zimna. Spostrzegłem to pilnujący mnie wartownik i bez słowa zrzucił mi z wozu derkę.

Było już widno, gdy przechodziła obok grupa niemieckich żołnierzy. Zauważyli jeńca. Jeden z nich zatrzymał się nade mną i nie odzywając się, wskazał palcem na moje ostrogi. Brutalnym, rozkazującym gestem kazał mi je zdjąć i podać sobie. Powoli, niechętnie rozluźniałem skórzane rzemyki.

– *Schnell!* – wrzasnął.

Zdawało mi się, jakby mnie kto po twarzy batem przejechał. Dopiero teraz uświadomiłem sobie całe poniżenie niewoli. Właściwie nie było już po co żyć! Mocarstwo runęło w ciągu kilku dni jak domek z kart. Po jednym dniu na froncie jestem już w niewoli. Zapadłem w stan przygnębienia i zobojętnienia, z którego wyrwał mnie jakiś dziwny ruch dookoła. Niemcy, nie wyłączając strzegącego mnie wartownika, pokrzykując na siebie wzajemnie, zaczęli przyskać w pole. Zostałem sam, siedząc nad rowem obok niemieckiej ciężarówki. Z góry dochodziło dobrze już znane brzęczenie motorów. Podniosłem w górę głowę. Od południa zbliżała się formacja bombowców. Ten widok i odgłos stały się już tak codzienne i powszednie, że przestały zwracać uwagę. Ale dlaczego Niemcy uciekają? Ach, to nasze poczciwe polskie „łosie”.

Przez tyle dni wypatrywaliśmy choćby jednego polskiego bombowca na pogodnym wrześnieowym niebie. I oto doczekałem się ich poniewczasie. Pospią się zaraz bomby. Za późno, nic mi nie zależy na życiu, najwyżej zginę. Nie warto w ogóle ruszać się z tego miejsca. Ejże, przychodzi nagle refleksja: mam zginąć od polskiej bomby? Podnoszę się z ziemi niechętnie, bez pośpiechu. Przebiegłszy kilkadziesiąt kroków w kierunku pola, słyszę tuż za sobą charakterystyczny świst. Nie zdążyłem upaść. Potężny podmuch pchnął mnie o dobre pięć metrów i rzucił na ziemię. Następuje długa seria wybuchów i cisza. Wstaję i ogładam się za siebie. Dokładnie w tym miejscu, gdzie siedziałem – lej głębokości dwóch metrów. Z mojego koca pozostało kilkanaście strzępów porozrzucanych wokoło. Samochód przewrócony na bok, zgnieciony, jakby go ktoś olbrzymim, ciężkim butem przygniół do ziemi. Krwawa miazga pozostałaby ze mnie, gdyby nie odruch, który w ostatniej sekundzie wyrwał mnie z apatii.

Słychać już wokół jęki. Bomby nie były zbyt celne, ale kilka trafiło jednak w wozy, w których spali żołnierze. Wyciągają trupy i rannych, układają

ich obok siebie wzdłuż drogi. Przyjeżdżają wozy ze znakami Czerwonego Krzyża i jakiś łażik, który mnie zabiera.

Z nastroju skrajnej depresji wyrывa mnie drobny incydent. W pobliskiej wsi, w powiecie hrubieszowskim, gdzie na cmentarzu przykościelnym czekam na dalszy transport, pojawiają się jakieś dwie panie. Starsza zapytuje wartownika, czy może zamienić ze mną parę słów. Żołnierz odsyła kobiety do oficera. Po chwili wracają w towarzystwie lejtnanta, który uprzejmym gestem pozwala na rozmowę i oddala się.

– Jesteśmy ze dworu, dowiedziałyśmy się, że Niemcy trzymają tu polskiego jeńca, więc przyszłyśmy zapytać, czy pan czegoś nie potrzebuje.

Rozmawiam z tymi paniami, jakbyśmy znali się od lat, chociaż nigdy w życiu nie widziałem ani matki – starszej już pani – ani tej młodej, ślicznej blondynki o bardzo polskiej urodzie.

– Przydałby mi się bardzo ciepły sweter. Dostałem się do niewoli w cienkim, połowym drelichu.

Po półgodzinie obie wracają. Młodsza wręcza mi wełniany ciemnognatowy sweter, a starsza termos z gorącą kawą i wspaniałą wałówkę. Dziękuję, jak umiem najserdeczniej, i przedstawiam się. Panie także wymieniają swoje nazwiska. Matka nazywa się Kisielnicka, jest dziedziczką miejscowego majątku. Córka, młoda mężatka Anna Szułdryńska, jak się okazuje żona kolegi z Uniwersytetu Poznańskiego.

Towarzyszył mi ten sweter przez całą wojnę, we wszystkich wyprawach, niebezpieczeństwach i przygodach. Zrzuciłem go z siebie i spaliłem w ostatnim dniu Powstania, przed opuszczeniem Warszawy, bo był beznadziejnie zawoszony. Zapamiętałem to spotkanie i w latach powojennych odczułem głęboki żal, gdy nazwisko Mieczysława Szułdryńskiego znalazłem na liście wymordowanych jeńców katyńskich. Na tej samej liście figurował Herdegen i wszyscy koledzy, z którymi przyłączyłem się do obrony Uściługu. Dopiero wtedy uprzytomniłem sobie po raz pierwszy, że owej nocy uniknąłem końca w Katyniu tylko dlatego, że dostałem się do niewoli niemieckiej. Tamci w kilka dni później znaleźli się w rękach Rosjan.

W parę minut po rozstaniu się z paniami wieziono mnie dalej. Tym razem już nie samego, ale z kilkudziesięcioma innymi jeńcami szeregowymi i oficerami. Dowiedziałem się od nich, że Niemcy wycofali się z opuszczonego przez naszych i spalonego Uściługu i wrócili z powrotem na zachodni brzeg Bugu. Dlaczego nie poszli dalej, na wschód? Dziwię się, tak

jak poprzedniego dnia dziwiłem się, że nie ukazał się nad nami ani jeden niemiecki samolot.

17 września przyniósł rozwiązanie zagadki. Dowieziono nas na wielki jeniecki punkt zborny na cmentarzu kościelnym w majątku Szeptyckich Łabunie, gdzie zgromadzono już parotysięczny tłum jeńców wziętych w kotle pod Tomaszowem Lubelskim. Niemcy otoczyli tam i rozbroili kilka polskich dywizji. Co chwila zwożą nowe grupy naszych. Rycerska sielanka pierwszej linii frontu skończyła się. Nie jesteśmy już w rękach Austriaków. Traktowanie staje się brutalne. Kilku oficerów wermachtu (a może było to już gestapo) zaczyna wyławiać „na oko” Żydów. Omijają starannie oficerów, polują na razie wśród podoficerów i szeregowych. Wyciągają żołnierza o wybitnie semickich rysach i wyprowadzają go przy akompaniamencie krzyków i bicia po twarzy. Z kolei czepiają się jakiegoś podchorążego, który odpowiada hardo po niemiecku, powołując się na konwencję genewską. Błady jak ściana, pokazuje legitymację, w której podane jest – wyznanie rzymskokatolickie, wyciąga spod koszuli medalik. Dają mu w końcu spokój. Przyglądamy się tym scenom z zaciśniętymi zębami i uczuciem bezsilnej wściekłości.

Późnym popołudniem dochodzą następne grupy. Przywożą nowe wiadomości. Dziś rano Sowietci przekroczyli granicę, posuwają się na Lwów – Baranowicze już zajęte.

W pierwszej chwili następuje radosne ożywienie. Teraz dopiero dojdzie do krachu między Hitlerem a Sowietami. Wszystko może się zmienić. Nowo przybyli wylewają nam jednak z miejsca kubek zimnej wody na głowę. Z komunikatów Moskwy i Berlina wynika, że Armia Czerwona wkroczyła do Polski w porozumieniu z hitlerowskimi Niemcami. Sowieckie radio oznajmiło, że państwo polskie przestało istnieć. Wobec tego Armia Czerwona zajmuje ziemie ukraińskie i białoruskie, które dotychczas należały do Polski. Zalega ponure milczenie, które przerywa jakiś głos za mną.

– Po tych sk... niczego innego nie można się było spodziewać. Zawsze to mówiłem. Tak się musiała skończyć polityka Becka i sanacji.

Obejrzałem się, kto to mówi, i zobaczyłem szczupłego, przystojnego podporucznika o pociągłej twarzy, drobnych, bardzo regularnych rysach, który dotychczas milczał. Dopiero w kilka godzin później dowiedziałem się, że ten oficer rezerwy nazywa się Józef Cyrankiewicz, jest znanym działaczem PPS w Krakowie, aktywnym zwłaszcza wśród studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Cyrankiewicz, którego poznałem bliżej w ciągu

następnych dwóch tygodni, niepodobny był zupełnie ani fizycznie, ani pod żadnym innym względem do późniejszego, spasionego jak wieprz współwłaściciela Polski Ludowej. Ten późniejszy Cyrankiewicz tak dalece różnił się od tego, którego poznałem w niewoli, że w latach powojennych podejrzewałem w nim nawet przez jakiś czas Wallenroda, który w sposobnej chwili odegra rolę, jakiej nikt się po nim nie spodziewa.

Liczba jeńców, jaką zgromadzili Niemcy po zamknięciu kotła pod Tomaszowem, przekraczała ich możliwości transportowe i zaopatrzeniowe. Tym więcej, że mosty i tory były przeważnie poniszczone. Z kilkunastu, a może z kilkudziesięciu tysięcy jeńców uformowano olbrzymią kolumnę i skierowano ją pieszo do oddalonego o sto kilometrów Jarosławia. Linia kolejowa Przemyśl–Kraków była bodaj jedyną, która funkcjonowała. Kolumna była tak długa, że na przodzie nie widać było jej końca. Pilnowały jeńców ciężarówki z karabinami maszynowymi skierowanymi w maszerujących i piesi wartownicy idący dość gęsto po obu stronach drogi. Możliwości ucieczki nie istniały. Niemcy powtarzali, że otworzą ogień do każdego, kto zejdzie z drogi. Przed zapadnięciem zmroku zamykano nas przeważnie, stłoczonych po tysiąc, dwa tysiące ludzi, w kościołach albo w budynkach dworskich łatwych do strzeżenia. Ciasnota była taka, że w kościołach spaliśmy głównie w pozycji siedzącej, jak się dało: w ławkach, na kamiennej podłodze, na stopniach ołtarzy. Stosunkowo najwygodniej w konfesjonatach. Najgorzej było z jedzeniem. W pierwszym dniu Niemcy zatrzymywali kolumnę i pozwalali się rozchodzić w promieniu stu metrów i wykopywać ziemniaki. Wieczorem przywozili bańki z zupą. Rankiem, przed wymarszem, kawę i kilkanaście bochenków chleba. Nie starczyło tego dla wszystkich i przy podziale rozgrywały się gorszące sceny. Można się było już wtedy przekonać, do jakiego znikczemnienia potrafi doprowadzić człowieka nie tyle nawet głód, ile sam lęk przed głodem. Dochodziło do bijatyk o to, kto dostanie w swoje ręce bańkę i bochenki, później bito się o podział wśród przekleństw, wyzwisk i krzyków. Ci, którzy usiłowali zachować odrobinę godności, odchodzili głodni po całodniowym marszu. Oficerowie i podchorążowie, których Niemcy wypuszczali na czoło kolumny po to tylko, by ich lepiej pilnować i oddzielić od żołnierzy, byli w nieco lepszej sytuacji, bo w wioskach czekali przy drodze chłopcy z przygotowanym prowiantem i wtykali nam w ręce, co kto miał: jabłko, bób, kawałek chleba, papierosa, szklankę wody, parę

upieczonych kartofli. Jakaś kobiecina, która nie miała już widocznie niczego do zaferowania, wsunęła mi do ręki kilka nasturcji. Korzystali z tej pomocy ci, którzy znaleźli się na czele kolumny. Dla następnych szeregów nie było już nic do rozdania. Niemcy na ogół nie przeszkadzali. Brak prowiantu im także stwarzał poważny problem. Coraz częściej ludzie mdleli z głodu i wyczerpania. Najgorsze było wysłuchiwanie nieustannych złorzeczeń nie tylko na winowajców klęski, ale na cały naród. Ludzi ogarnęła jakaś masochistyczna mania wylewania pomyj na własne społeczeństwo. Wyżsi oficerowie zachowywali się różnie. Pułkownik Szostak kazał natychmiast rozdać wśród otaczających go kilkunasstu oficerów i szeregowych kasę pułkową, którą nosił jego adiutant. Rozdzielał równo bez względu na szarżę. Dla siebie nie zatrzymał ani złotówki. Inny pułkownik, którego nazwiska lepiej nie wspominać, niósł przez cały czas ciężką metalową skrzynkę także z pułkowymi pieniędzmi. Nie rozstawał się z nią ani na chwilę, nie pozostawiał w rękach kolegi, nawet gdy udawał się na stronę. W nocy służyła mu za poduszkę, chyba niezbyt wygodną. Musiał mieć ciężkie sny. Pewno doniósł te pieniądze do oflagu.

Z inicjatywy Cyrankiewicza i Szostaka doszło do zawarcia pierwszego konspiracyjnego porozumienia. Postanowiliśmy oddziaływać własnym przykładem i słowem na innych, starać się przywrócić morale, jakąś dyscyplinę i godność, reagować ostro na każde słowo obrażające naród, państwo i wojsko. Zmienialiśmy się kolejno przy podziale prowiantu. Każdy rozdający zobowiązywał się, że jego porcja będzie ostatnia i najmniejsza. Żywność otrzymywana od chłopów szła do wspólnej puli i sprawiedliwego podziału.

Rezultaty nie dały na siebie długo czekać. Gdy tylko konspiratorzy zdobyli sobie zaufanie – powrócił jaki taki porządek, przynajmniej w tej grupie, która znalazła się w naszym zasięgu. Ogólny ton nadawali znowu Szostak, major Biały z Krakowa i Cyrankiewicz. Z tym ostatnim szedłem w jednym szeregu. Był raczej małomówny, ale z wymiany zdań i poglądów zdołałem się zorientować, że należy do prawego skrzydła PPS, nastawionego nieufnie do współpracy i wspólnego frontu z komunistami. Przyznał się, że pochodzi z krakowskiej endeckiej rodziny, ale sam od pierwszych lat szkolnych związał się z socjalistami. Nie mówił, jak do nich trafił. Z różnych półsłów wynikało, że brał udział w organizowaniu strajków robotniczych i zaangażowany był dość głęboko w robocie politycznej.

Po dwóch dniach tego marszu załadowano nas na ciężarówki. Dalszy ciąg drogi aż do Jarosławia odbywaliśmy więc samochodami.

Jeszcze przed Jarosławiem Niemcy zabrali z kolumny pułkownika Szostaka i dwóch innych oficerów dyplomowanych. Odbyło się to z wielkimi honorami. Przyjechał po nich samochodem jakiś niemiecki generał w asyście dwóch oficerów. Nie mieliśmy więc większych obaw o ich losy. Jakie one były, dowiedziałem się dopiero w kilka miesięcy później. Szostaka i towarzyszy przewieziono samolotem do kwatery generała Blaskowitza i jego sztabu. Tam pokazano im na mapie dokładne rozmieszczenie wojsk niemieckich pod Warszawą i w kraju. Chodziło o to, by polscy oficerowie mogli przekonać się na własne oczy, że położenie oblężonej stolicy jest beznadziejne. Następnie odstawiono ich na odcinek frontu pod Warszawę – nie pamiętam już, w pobliżu Woli czy Pragi – i zapewniono bezpieczne dojście do polskich linii.

Szostak i towarzysze zachowali się, jak im nakazywał regulamin wojskowy. Zameldowali się u generała Czumy, złożyli meldunek ze wszystkiego, co widzieli i słyszeli, bez żadnego własnego komentarza, po czym poprosili o natychmiastowy przydział i skierowanie na linię frontu. Szostak poprosił także o pozwolenie odwiedzenia w szpitalu żony, która – jak się dowiedział – została ciężko ranna w czasie jednego z nalotów. Pozwolenie dostał, ale do szpitala nie zdołał dotrzeć. Zginął po drodze, trafiony niemiecką bombą, w czasie nalotu w dniu 25 września.

Tymczasem w Jarosławiu załadowano nas do bydłych wagonów pociągu kilometrowej długości. Zauważyliśmy, że konwój niemiecki jest dobrze uzbrojony, ale liczebnie słaby. Na stacjach jeńcy pod strażą konwojentów roznosili kubły wody do picia i chleb. Ponieważ zamykanie i otwieranie za każdym razem drzwi wagonów zabierało za wiele czasu, zostawiono je otwarte. Na każdym co piętnastym czy dwudziestym wagonie ustawione były po obu stronach cekaemy. Powtarzano często ostrzeżenie, że konwojenci otworzą bez uprzedzenia ogień w razie jakiegokolwiek próby ucieczki.

Po północy minęliśmy Tarnów. Zaległa gęsta mgła i zupełne ciemności. Pociąg zwolnił do 35 kilometrów na godzinę. Jeden z nas rzucił myśl ucieczki. Gdy nastanie dzień i miniemy granicę Rzeszy, będzie za późno. W wagonie zapanowało z miejsca ożywienie. Opinie były podzielone. Jedni chcieli uciekać natychmiast, inni uważali, że ryzyko jest zbyt wielkie. Ktoś zwrócił uwagę, że jesteśmy przecież w mundurach. Nie wiadomo, czy w okolicy nie ma jakichś oddziałów niemieckich. Konwój dysponuje

dostateczną siłą ognia, by nas wszystkich wystrzelać, nawet jeśli cekaemy będą kosily na ślepo.

– Trzeba poczekać, aż zbliżymy się do Krakowa – odezwał się Cyrankiewicz. – Ja tam znam taką osadę robotniczą niedaleko torów kolejowych: Łągiewniki. Oni nas na pewno schowają i dadzą cywilne ubrania.

Wyłoniła się z miejsca grupa, zdecydowanych skakać z pociągu pod Łągiewnikami. Wśród kilkunastu zdecydowanych na ucieczkę zapamiętałem sobie nazwisko majora Białego z Krakowa, młodego lekarza Jana Romanowicza i Józefa Cyrankiewicza.

Zbliżamy się do Krakowa. W mgłę i w ciemnościach trudno się zorientować, gdzie dokładnie jesteśmy.

– Zdaje się, że to tu – odzywa się Cyrankiewicz.

Zaczynamy! Już przedtem wylosowaliśmy kolejność. Jestem trzeci. Musimy skakać jeden po drugim, bardzo szybko, by zmniejszyć niebezpieczeństwo dla następnych. Lecę ukosem i – bum! Uderzyłem mocno całym ciałem w pochyły nasyp, staczam się w dół, zrywam się natychmiast na równe nogi i pędzę przed siebie co tchu w piersiach. Co chwila potykam się i przewracam o jakieś krzaki... Ubiegłem sto metrów, gdy zaczynają terkotać cekaemy, jeden... drugi... trzeci. Rzut oka za siebie. Na szczęście pociąg nie tylko się nie zatrzymał, ale mocno przyspieszył. A więc nie będzie pościgu. Pędzę dalej, obok słyszę kroki i oddechy kolegów.

Dolatujemy do zabudowań. Ludzie zbudzeni strzelaniną wyglądają przez okna. Wpadam do pierwszej sieni. Nie mogę złapać tchu, wydobywam z siebie tylko pojedyncze słowa: – Niemcy... uciekliśmy z pociągu. Pokazuję za siebie – w kierunku, skąd dochodzą jeszcze oddalające się długie serie cekaemów. Jakaś potężna, stara baba w koszuli i w kaftanie bez słowa wpycha mnie do izby i do ciepłego łóżka, nakrywa olbrzymią pierzyną. Po chwili mam na sobie potworny ciężar. Czuję, że się duszę, ale nie mogę spod pierzyny wołać: ratunku! Usiłuję ruszyć się, ale ciężar – chyba ponad stu kilogramów – nie pozwala. Przez kilkanaście minut z największym trudem łapię oddech. Przygniata mnie pierzyna, poduszka i właścicielka łoża. Po kilkunastu minutach widocznie doszła do wniosku, że niebezpieczeństwo minęło. Straszliwy ciężar ustępuje. Wydobywam się spod pierzyny, siadam na łóżku. Przedemną – wpatrzona we mnie cała rodzina.

– Dziękuję bardzo – wykrztusiłem, z ulgą biorąc głęboki wdech. Ufff, udało się.

III

Przedziergnięcie się w cywilów nie nastęrczało trudności. Kilku chłopaków z Łagiewnik pojechało na rowerach pod wskazane adresy do Krakowa po cywilne ubrania. Nie miałem wprawdzie w mieście żadnej rodziny, ale przypomniałem sobie adres dawnego znajomego, profesora Adama Kleczkowskiego, germanisty wykładającego na Uniwersytecie Jagiellońskim. Na szczęście Kleczkowscy byli na miejscu i wysłannik przyniósł mi ubranie jednego z synów, którzy także poszli do wojska. Trzewiki okazały się za ciasne, spodnie za krótkie. Wyruszyłem do Krakowa w wojskowych butach z cholewami i w cywilnych spodniach, sięgających do połowy cholewy. W tramwaju na mój widok ludzie uśmiechali się znacząco, ale do mieszkania Kleczkowskich dojechałem bez przeszkód.

Tego samego dnia po raz pierwszy w życiu wysłuchałem polskiej audycji BBC. Anglicy zaczęli je nadawać w tydzień po wybuchu wojny. Poczułem pierwszy przypływ optymizmu. Wojna trwa, byle tylko przeczekać najgorsze.

W Krakowie przesiedziałem około tygodnia. Stolica wciąż się broniła, ale do Krakowa dochodziły hiobowe wieści o rozmiarach zniszczeń i liczbie ofiar. Jasne było, że Niemcy zajmą miasto lada dzień. Gnębił mnie niepokój o rodzinę. Postanowiłem za wszelką cenę przedostać się jak najbliżej Warszawy.

Łatwiej jednak było to postanowić, niż zrobić. Linie kolejowe prowadzące do stolicy przez Częstochowę i Radom były przerwane. Mosty zniszczone. Dowiedziałem się od kolejarzy, że można dojechać do Częstochowy okólną drogą przez Katowice, niemiecką wówczas część Śląska i Lubliniec. Granica nie istnieje, nie ma żadnej kontroli paszportów. Wędrówka milionów mieszkańców uciekających przed wojskami nieprzyjaciela pogrzyżyła kraj w chaosie. Okupacyjne władze uznały, że w interesie porządku leży szybki powrót ludzi do ich miejsc zamieszkania. Cywilom nie robiono trudności. Zebrała się znowu grupka kilku młodych ludzi. Bez biletów wsiedliśmy w pierwszy pociąg towarowy jadący w kierunku Katowic.

Okazało się, że sytuacja na Śląsku jest dużo gorsza niż w Krakowie. W Katowicach – sądne dni. Przejeżdżając przez miasto, widzimy z wagonu uzbrojone cywilne bojówki wyciągające ludzi z mieszkań. Już od kilku

tygodni trwało to polowanie na powstańców śląskich i polskich działaczy. Ktoś ostrzega nas, by nie wysiadać na dworcu. Są obławy na Polaków. Zdarzają się egzekucje na miejscu. Miejscowi Niemcy biorą odwet za powstania śląskie.

Udaje nam się ukradkiem przerzucić na pociąg osobowy Katowice–Opole. Po drugiej stronie granicy mamy się przesiąść na inny, idący w kierunku wschodnim na Lubliniec. W przedziale są sami Niemcy. Kierują ku nam nienawistne spojrzenia, padają obraźliwe słowa. Udajemy, że nie rozumiemy, wobec czego jakaś stara Ślązaczka wygłasza do nas po polsku dłuższą perorę o Führerze, o tym jak to „w Polsce była sama bida, ale Polska już się raz na zawsze skończyła, a Polacy dostaną za swoje”. Podnieca się coraz bardziej i zaczyna wygrażać nam pięścią przed nosem: „*verfluchte Polacken!*”.

W Opolu przedostajemy się szczęśliwie do pociągu w kierunku Lublińca, ale na stacyjce Vosswald Schutzpolizei kontroluje dokumenty. Wszystkim pasażerom Polakom każą wysiąść z pociągu i zamykają nas w stłoczonej salce na dworcu. Na szczęście zamykają na klucz tylko drzwi wychodzące na peron, zapominając, że są drugie, od strony ulicy. Wymykamy się na zewnątrz i do następnej stacji Lubliniec wędrujemy pieszo, korzystając z tego, że zrobiło się już ciemno. Nad ranem docieramy szczęśliwie do Częstochowy.

Tu zastaje nas wiadomość o kapitulacji Warszawy. Nie chcę tracić ani jednego dnia. W magistracie Niemcy wydają przepustki uprawniające do powrotu do miejsca zamieszkania publicznym środkiem transportu. Rankiem wsiadamy do pociągu towarowego idącego w kierunku Warszawy. Jedziemy otwartym wagonem-platformą. Pociąg tym razem posuwa się szybko. Na jednej ze stacji chłopci sprzedają masło i chleb. Kupuję cały koszyk osełek masła i dwa wielkie bochenki chleba z myślą, że jedno i drugie przyda się w wygłodzonej Warszawie.

W miarę zbliżania się do stolicy niepokój rośnie. W Koluszkach na sąsiednich torach stoi pierwszy transport jeńców z Warszawy. Tym razem pociąg jest dobrze strzeżony, wagony pozamykane, w małych okienkach pojawiają się twarze, ale wartownicy nie dopuszczają do żadnej rozmowy.

W Pruszkowie każą nam wysiadać. Pociągi dalej nie idą. Od siódmej wieczorem obowiązuje godzina policyjna. Do Warszawy możemy wyruszyć piechotą dopiero o piątej rano.

Spędzam makabryczną noc w tłumie uchodźców, którzy wypełniają szczelnie cały dworzec. Ci ludzie ucierpieli najwięcej. Uciekając przed

Niemcami, znaleźli się w obcym, oblężonym i bombardowanym mieście, bez dachu nad głową i najczęściej bez pieniędzy i żywności. Wracają teraz do swych miast i wiosek. Na dworcu w Pruszkowie panuje istne piekło. Na ziemi leżą ciężko chorzy ludzie, jęcząc głośno. Sporo wśród nich starców. W ciągu nocy są dwa wypadki zgonu niemowląt. Ludzie przyglądają się tragedii z tępą obojętnością. Widzieli gorsze rzeczy. Są znieczuleni na nieszczęścia i płacz ludzki. Zmarłe niemowlęta rodzice chowają owinięte w pieluszki na skwerku opodal dworca. Bez przerwy wypytuję, jaki jest stopień zniszczenia stolicy, i w końcu dowiaduję się, że Czerniaków „stoi”. Tylko parę kamienic trafiły tam bomby.

Po piątej rano wyruszamy dalej w kierunku miasta, idąc pod prąd fali uchodźców płynącej w stronę Pruszkowa.

W miarę zbliżania się do przedmieść widzimy coraz więcej śladów zniszczeń i walk. Ostatnie oddziały wojska wymaszerowały do niewoli poprzedniego dnia. Przed Warszawą Zachodnią – napotykamy pozostawione na stanowiskach działa, okopy, rowy przeciwlotnicze. Ulice przecięte wysokimi barykadami sięgającymi gdzieś do wysokości pierwszego piętra. Na murach wiszą jeszcze odezwy Starzyńskiego, Rómmla i Czumy. Miasto przypomina rozgniecione mrowisko. Na ulicach góry gruzu ze zburzonych domów, ale przechodnie już zdążyli wydeptać w nich ścieżki. Ludzie poruszają się spiesznie we wszystkich kierunkach. W tej mrówczej, gorączkowej krzątaninie każdy zdaje się całkowicie pochłonięty wyłącznie własnymi sprawami, nie patrząc na to, co się wokół niego dzieje, i jakby nie widząc zburzeń i zniszczeń. Każdy coś dźwiga: plecak, koszyk z jedzeniem, walizkę. Jest w tym jakaś instynktowna, samozachowawcza ucieczka od rzeczywistości.

Skręcam w Nowogrodzką, gdzie w pobliżu placu Trzech Krzyży mieszka moja ciotka, ta sama, która gdy byłem dzieckiem, prowadziła mnie za rękę pod Krzyż Traugutta. Już z daleka widzę z przerażeniem, że kamienica jest zburzona. Olbrzymie rumowisko tworzyło pagórek, który zawalił całe podwórze i część ulicy. Podnoszę w górę oczy. Tam, na najwyższym piętrze, w oficynie było mieszkanie mojej ciotki. Ocalała tylko ściana szczytowa. W miejscu, gdzie była łazienka, wisi wciąż przy ścianie wanna, a tam, gdzie był pokój, pozostał na ścianie groteskowo przechylony znajomy portret. W rumowisku grzebie jakiś staruszek, próbując coś wyciągnąć z bezładnej kupy gruzów, cegieł i żelastwa. Pytam go, czy nie wie przypadkiem, co stało się z lokatorką tego domu – Anielą Jeziorańską.

– A tak – odpowiada – owszem, zginęła 25 września. Nie ona jedna – dodaje. – Ja miałem szczęście. Byłem wtedy w kościele. – Już odchodzę, gdy woła za mną: – Wszystkich, którzy tu zginęli, pochowano na skwerku przed kościołem Świętego Aleksandra.

W tej chwili myślę już tylko o tym, by jak najprędzej dotrzeć do naszego domu. Pędzę na złamanie karku Księżęcą w dół, skręcam w Czerniakowską. W miarę jak zbliżam się do Wilanowskiej, rośnie obawa przed najgorszym. Zwalniam po chwili krok, tak jakby można było odsunąć chwilę, kiedy dowiem się wszystkiego. Jestem już na rogu. Wszystkie domy stoją!

Nasze mieszkanie znajduje się na parterze przy ulicy Wilanowskiej 18. Okna bez szyb, okiennice zamknięte. Dom sprawia wrażenie pustego i wymarłego. Serce wali mi jak młot, gdy wchodzę w bramę i skręcam w klatkę schodową. Przyciskam dzwonek. Z mieszkania odpowiada mi głucha cisza. Uświadamiam sobie nagle, że Warszawa nie ma przecież elektryczności. Dzwonek nie funkcjonuje. Stukam w drzwi i w tym momencie czuję, jak ogarnia mnie uczucie radości ulgi. Z mieszkania odpowiada mi szczekanie. To nasz jamnik Robak.

Po chwili jestem w objęciach dwóch płaczących ze szczęścia kobiet.

– Gdzie Jędrus? – pytam z niepokojem o brata. (Mój starszy brat miał kategorię C – w wojsku nie służył).

– Umiastowski wezwał przez radio wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni, by opuścili miasto. Wyszedł z innymi na wschód.

Pierwsze godziny i dni wypełnia troska o zdobycie żywności, odszukanie krewnych i przyjaciół. Jak inni, instynktownie uciekam od rozmyślenia nad wszystkim, co zaszło. Szukam tej ucieczki w codziennej bieganinie i trosce o zdobycie chleba, kartofli, tłuszczu, świec czy zapalek.

W kilka dni po powrocie wychodzę w stronę Śródmieścia i natykam się na patrole niemieckiej żandarmerii i granatowej policji. Wszystkie ulice z Powiśla w kierunku Alei Ujazdowskich i Nowego Świata zamknięte. Granatowy policjant namawia mnie półgłosem na powrót do domu. Lepiej się dziś nie szwendać po mieście. Coś się dzieje w Śródmieściu, on sam dokładnie nie wie co. Zgromadzono dużo wojska, SS i gestapo.

Dopiero w pięć lat później, bezpośrednio z ust samego generała Karaszewicza-Tokarzewskiego dowiedziałem się, że o mały włos nie doszło wtedy do wydarzenia, które zmieniłoby bieg wojny, ale równocześnie sprowadziłoby na miasto masową rzeź, z której zapewne mało kto uszedłby z życiem.

W tym właśnie dniu Hitler odbierał w Warszawie defiladę zwycięstwa i przeprowadzał oględziny zniszczonego miasta. Taka sama defilada odbyła się po wkroczeniu Niemców w Wiedniu i w Pradze, było więc z góry do przewidzenia, że będzie i w Warszawie. W ostatnich dniach czy godzinach przed kapitulacją, gdy Tokarzewski w gronie kilku wojskowych i polityków tworzył w podziemiach PKO zaczątki przyszłej organizacji konspiracyjnej, powstał plan zamachu na Hitlera właśnie w czasie przewidywanego tryumfalnego wjazdu Führera do stolicy. Zadanie otrzymał major Franciszek Niepokólczycki, dowódca kompanii saperów w Cytadeli.

Przewidziano, jak się okazało trafnie, że Hitler ze swoją świtą, objeżdżając miasto, będzie musiał tak czy inaczej przejechać przez skrzyżowanie Alei Jerozolimskich i Nowego Światu. Saperzy Niepokólczyckiego, usuwając zgodnie z układem o kapitulacji miasta barykadę w tym miejscu, założyli dwa olbrzymie ładunki materiałów wybuchowych. Jeden umieszczono w gmachu Dyrekcji Kolei w ten sposób, że cała siła wybuchu poszłaby na Café Club, a drugi w gmachu BGK z główną siłą eksplozji skierowaną w stronę Gastronomii. Przy detonatorach w pobliskim budynku czuwały na zmianę, dzień i noc, dwa posterunki – każdy złożony z saperów i oficera, oczywiście przebranych już po cywilnemu. 4 października Niepokólczycki meldował Tokarzewskiemu, że wszystko gotowe, a już następnego dnia przed południem, zgodnie z przewidywaniami, Hitler odbierał defiladę w Alejach Ujazdowskich przy placu Na Rozdrożu, po czym długi korowód samochodów ruszył Alejami i Nowym Światem, w kierunku placu Piłsudskiego.

Dlaczego wybuch nie nastąpił? Tokarzewski tłumaczył mi po wojnie, że nie miał wtedy jeszcze żadnego wywiadu i że defilada zaskoczyła zamachowców. Niepokólczycki nie dostał się tego ranka na miejsce, bo Niemcy zamknęli dostęp do ulic, którymi miał przejechać Hitler. Oficer obecny na miejscu otrzymał wprawdzie rozkaz działania na własną rękę, ale tylko w wypadku jeśli nie będzie cienia wątpliwości, że widzi przed sobą samego Hitlera. Stawka była za wielka, by można było pozwolić sobie na pomyłkę. Nie wiedząc, kto przyjmował defiladę: Hitler czy Blaskowitz albo Brauchitsch, zawahał się i nie dał znaku do odpalenia detonatora w chwili, gdy korowód aut w szybkim tempie przemknął mu przed nosem.

Trudno dziś zgadnąć, jak potoczyłaby się wojna, gdyby nie ta jedna sekunda wahania. Pewne jest tylko, że gdyby Hitler z całym otoczeniem zginął

w tym momencie, Niemcy wyładowaliby całą furię na bezbronnej ludności Warszawy i pokonanego kraju. Trudno sobie wyobrazić rozmiary masakry, od której dzielił jeden ruch ręki.

* * *

Po tygodniu wrócił z wędrówki na wschód mój starszy brat z odłamkiem niemieckiej bomby w plecach, odeszła natomiast na zawsze babcia. W czasie oblężenia, nalotów i bombardowań zachowywała stoicki spokój, chowała głęboko niepokój o najbliższych. Uświadomiła sobie rozmiary katastrofy dopiero wtedy, gdy było już po wszystkim. Pamiętała Powstanie Styczniowe, przeżyła dokładnie połowę epoki porobiorowej, później radość odrodzenia państwa i dwadzieścia lat niepodległości. Teraz doczekała się klęski.

– Po co ja tego dożyłam? – powtarzała, płacząc. Umarła dosłownie ze zmartwienia.

Młodzi zadziwiająco szybko otrząsnęli się z przeżyć i nastrojów pokłeskowego defetyzmu. Z radia w Paryżu i w Londynie, którego słuchała teraz cała Warszawa, wiadomo już było, że powstał rząd generała Sikorskiego i formuje się armia polska.

W ciągu kilku tygodni terror, pierwsze okrucieństwa, aresztowania zakładników, uwięzienie Starzyńskiego, wiadomości o masowych rozstrzelaniach w Wielkopolsce, deportacje z ziem zachodnich – zmobilizowały solidarny front ludności i zepchnęły niejako na plan dalszy rozgoryczenie narodu wobec rządów przedwojennych.

Jednym z największych błędów niemieckich okazała się konfiskata wszystkich radioodbiorników i wprowadzenie kary śmierci za ich posiadanie. W żadnym innym z okupowanych później krajów, z wyjątkiem Rosji, nie posunięto się tak daleko. W dużej mierze przyczyniło się to do spontanicznego wyrastania organizacji podziemnych w Polsce. Głód wiadomości, od których w sposób bezpośredni zależał osobisty los każdej rodziny, był tak silny, że nawet niebezpieczeństwo utraty życia nie mogło ludzi odciąć od ich źródła. Słuchanie radia zastąpiły informacje z nasłuchu. Zakonspirowane ośrodki potajemnego słuchania Londynu dzięki kolportowanym z ręki do ręki komunikatom stawały się załączkami organizacji podziemnych, mnożących się jak grzyby po deszczu. Już w ciągu października

Warszawę obiegać zaczęły pierwsze tajne pisemka: „Monitor Informacyjny” i „Polska Żyje”.

Pierwszy kontakt z powstającymi ośrodkami konspiracyjnymi nawiązałem dość wcześnie. W mieszkaniu na Chocimskiej, dokąd przenieśliśmy się z Wilanowskiej, udzieliliśmy w początkach 1940 schronienia memu koleździe z Poznania Zygmuntowi Nowakowskiemu, ogólnie nazywanemu Zybciem. Otóż Zybci przyznał się, że współpracuje z majorem Janem Włodarkiewiczem, który ukrywa się w Warszawie i przystąpił do formowania podziemnej organizacji wojskowej mającej być kontynuacją regularnej armii i szykować kraj do powstania w momencie klęski Niemiec. Oczekiwano jej wiosną lub w lecie, gdy ruszy ofensywa państw zachodnich. Włodarkiewicz należał przed wojną do grupy oficerów nastawionych opozycyjnie wobec sanacji. Przez brata Józefa powiązany był z konspiracyjną, prawicową grupą wojskową Krzyż i Miecz sprzyjającą Sikorskiemu.

Wiosną 1940 roku Nowakowski, który postanowił przedostać się do wojska we Francji, otrzymał w mikrofilmach list do Sikorskiego na kilkudziesięciu stronach. Włodarkiewicz proponował w nim Naczelnemu Wodzowi powierzenie mu organizowania w kraju podziemnej siły zbrojnej podporządkowanej władzom w Paryżu.

Pragnąc dodać wagi i znaczenia formowanej przez siebie organizacji, Włodarkiewicz nadał jej z miejsca nazwę „Tajna Armia Polska”, w skrócie TAP. Jej efektywy ocenione zostały w raporcie dla Sikorskiego na mniej więcej dwanaście tysięcy oficerów, podoficerów i żołnierzy. Włodarkiewicz był człowiekiem bardzo ambitnym, lecz z pewnością uczciwym. Ówczesne metody obliczania sił podziemnego wojska były jednak wątpliwe i liczby te wydawały mi się mocno wyolbrzymione. Przez nasze mieszkanie na Chocimskiej przewinęło się w tym czasie sporo współpracowników Włodarkiewicza. Niektórzy, jak Stanisław Dangel, Witold Pilecki i Wacław Młcuta, byli znajomymi albo mego brata, albo moimi. Z urywków rozmów odniosłem wrażenie, że TAP powstała z połączenia kilku grup, w większości złożonych z ziemian i oficerów zawodowych i opartych na przedwojennych znajomościach. Organizacja zgromadziła w Warszawie sto kilkanaście sztuk karabinów i pistoletów dostarczonych przeważnie z Kieleckiego przez przedwojennego przyjaciela Włodarkiewicza, słynnego partyzanta majora Henryka Hubala-Dobrzańskiego.

Zybicio wpadł na granicy w ręce słowackich strażników, lecz wyrwał się z ich rąk i powędrował dalej. Niestety w chwili niebezpieczeństwa zniszczył mikrofilm. Raport TAP nie dotarł do Paryża. Włodarkiewicz zorientował się z czasem, że nie ma szans jako rywal Roweckiego, podporządkował mu się i wszedł w skład ZWZ. Został później pierwszym komendantem „Wachlarza”². Po wyjeździe Nowakowskiego major ukrywał się przez jakiś czas w naszym mieszkaniu pod przybranym nazwiskiem Linowski. W dwa lata później zmarł czy też został zgładzony we Lwowie w niewyjaśnionych okolicznościach.

Prasowym organem TAP było pismo „Znak” wydawane przez młodego dziennikarza z redakcji krakowskiego „Czasu” Lucjana Rościszewskiego.

Ponieważ TAP żadnej działalności prócz rekrutowania ludzi i gromadzenia broni na razie nie prowadziła – nawiązałem współpracę ze „Znakiem”, zaczynając od artykułu napisanego, jeśli pamięć nie myli, z okazji święta 3 Maja. Był to mój podziemny debiut. Udając się z rękopisem w kieszeni pod wskazany adres w Alejach Jerozolimskich, miałem wrażenie, że ktoś za mną idzie. Stałem przed szybą wystawową i zauważyłem, że istotnie jakiś osobnik zatrzymał się przy sąsiedniej wystawie i – jak mi się wydawało – obserwuje mnie spod oka.

Zanim wszedłem w bramę domu w Alejach Jerozolimskich, obejrzałem się raz jeszcze. Podejrzanego osobnika już nie było. Śmiejąc się z własnych obaw, zapukałem po chwili do mieszkania pani Jadwigi Tereszchenko, po wymianie hasła zostawiłem jej artykuł i wróciłem do domu.

Tej samej nocy obudziło nas walenie w drzwi. Gdy zapaliłem światło, w progu pokoju stało już dwóch gestapowców. Natychmiast skojarzyłem ich obecność z wizytą u pani Tereszchenko. A więc jednak byłem obserwowany. Na szczęście Włodarkiewicz tej nocy nie spał u nas. Za to w bielizniarce między prześcieradłami leżał schowany komunikat radiowy. Gestapowcy obszukali dość powierzchownie mieszkanie. Jeden otwiera bielizniarkę, niedbałym ruchem zaczyna przewracać zawartość szuflad. To już koniec – myślę, ale – nie! Niemiec nie natknął się na szczęście na schowane papiery. Odwraca się i każe sobie pokazać dowód tożsamości. Skrupulatnie sprawdza datę urodzenia, rzuca dokument na podłogę i wychodzi z pokoju. To

² „Wachlarz”: organizacja dywersyjna AK, działająca na niemieckich tyłach frontu wschodniego.

samo powtarza się z moim bratem. Oddychamy z ulgą, gdy drzwi zatrzaśkują się za obu Niemcami. Zdaje się, że niebezpieczeństwo mamy za sobą. Widzimy, jak z sąsiedniego mieszkania wyprowadzają syna właściciela domu.

Powody nocnej rewizji wyjaśniły się następnego dnia. Z kilku kamienic przy Chocimskiej, nie wiadomo dlaczego, gestapowcy powyciągali młodych mężczyzn od 18. do 25. roku życia. Rozkaz wykonywany był z niemiecką dokładnością. Dwudziesty piąty rok życia już przekroczyłem. Aresztowany syn sąsiada miał lat dziewiętnaście. Między debiutem w prasie podziemnej i nocną wizytą nie było żadnego związku. Terror niemiecki już wtedy bił często na oślep. O życiu i śmierci decydował niejednokrotnie przypadek.

W mieszkaniu Rościszewskich spotkałem się z Witoldem Hulewiczem, redaktorem „Polska Żyje” – rozstrzelanym później w Palmirach, oraz z Kazimierzem Moczarskim i jego żoną. Na spotkaniach konspiracyjnych organizowanych przez Rościszewskiego dochodziło niekiedy do ostrych starć. W tym właśnie czasie w jakimś mieszkaniu przy Myśliwieckiej pokłóciliśmy się na całego z Aleksandrem Bocheńskim. Przyszły autor *Dziejów głupoty w Polsce* już wtedy wyrzekał głośno na głupotę Polaków i brak jakiegokolwiek ugrupowania, które szukałoby ugody i porozumienia z okupantem. Choćby po to, by przeciwdziałać za cenę współpracy politycznej krwawym represjom. Tezy Bocheńskiego spotkały się z gwałtownym sprzeciwem obecnych. On sam, wbrew szerzonym przez siebie poglądom, podobnie jak inny konsekwentny wyznawca proniemieckiej orientacji, profesor Władysław Studnicki, nie splamił się w czasie okupacji żadną współpracą z hitlerowcami, mimo że należał do ludzi, którzy ugodę polityczną z silniejszym mieli niejako we krwi.

Zorientowałem się wkrótce, że Rościszewski wywodził się z przedwojennej krakowskiej konserwy. Nazwa jego pisma „Znak” miała nawiązywać do głównego organu tego środowiska – „Czas” („Znak czasu”). Ten kierunek polityczny zupełnie mi nie odpowiadał³.

Dużo więcej wewnętrznego zadowolenia dawały inne dyskusje prowadzone wśród starszych harcerzy, z którymi zaprzyjaźniłem się w czasie studiów w Poznaniu. Spotykaliśmy się w mieszkanku na Żoliborzu. Bywał tam Florian Marciniak, późniejszy Naczelnik Szarych Szeregów, Leon Marszałek – a jeśli po tylu latach pamięć nie myli, Stanisław Broniewski, Stanisław

³ Rościszewski, aresztowany przypadkowo w kawiarni wiosną 1943 roku, został po kilkunastu dniach rozstrzelany.

Rączkowski, Jan Rossman i paru innych. W naszych duszach nie było klęski. Owej zimy czterdziestego roku byliśmy wszyscy przekonani, że już wiosna albo lato przyniesie przegraną Niemiec i koniec wojny. Dyskutowaliśmy zapamiętane nad tym, jaka Polska ma się wyłonić z tej zawieruchy. Leon Marszałek pilnie notował. Z roztrząsań tych narodziła się zredagowana przez Marszałka broszura *O powołaniu naszego pokolenia*⁴. Jakiś kurier przewiózł ją w mikrofilmach do Londynu. Z głębokim wzruszeniem natknąłem się na nią już po wojnie i odnalazłem znajome myśli, które narodziły się w ówczesnym klimacie⁵.

W czasie tej pamiętnej, okrutnie mroźnej pierwszej zimy okupacyjnej nie czułem najmniejszej ochoty, by powrócić do pracy naukowej. Nawiązałem za to kontakt z moim mistrzem, profesorem Taylorem, wysiedlonym z Poznania z żoną i dwojgiem młodszych dzieci.

Taylorowie zamieszkali u krewnych w Opatkowicach Murowanych pod Jędrzejowem. Profesor odczuwał dotkliwie odcięcie od swojej biblioteki i warsztatu pracy naukowej. Zacząłem zwozić mu książki wypożyczane dzięki pomocy Andrzeja Gródka z Biblioteki Narodowej i Zbigniewa Markarczyka z Biblioteki Szkoły Nauk Politycznych. Taylor zabrał się rażno do pracy, której owocem była wydana już po wojnie *Teoria produkcji*. We wstępie profesor nie zawahał się podziękować mi, wymieniając nazwisko, chociaż było ono już wtedy mocno „trefne”. Wizyty w Opatkowicach urwały się dopiero w lecie 1942 roku, kiedy robota podziemna pochłonęła bez reszty mój czas i całą energię.

W pierwszym roku okupacji, zwłaszcza w krytycznych dniach inwazji na Norwegię i klęski Francji, giełdą informacji z frontu i wiadomości politycznych był dla mnie znajdujący się opodal przy Chocimskiej Państwowy Instytut Higieny, gdzie pracowała grupa lekarzy pod kierunkiem doktora Feliksa Przesmyckiego i mego znajomego z Poznania doktora Jerzego Morzyckiego. Byłem tam mile widzianym gościem, bo zawsze przynosiłem w kieszeni jakąś podziemną gazetkę, którą wymieniałem na znacznie grubszy biuletyn, dostarczany przez szwagra Morzyckiego – Iłłakowicza, późniejszego przywódcę NSZ. Lekarskie laboratorium w Państwowym Zakładzie Higieny pracowało na dwóch torach: wykonywało zamówienia niemieckie,

⁴ Broszura Leona Marszałka ukazała się pod pseudonimem Andrzej Brzoza w roku 1940.

⁵ Wydał ją w roku 1945 Oddział Kultury i Prasy II Korpusu we Włoszech.

a pod tą pokrywką współpracowało równocześnie z ZWZ. Przeciwyfusowe szczepionki Weigla produkowane dla wermachtu wykradano, jak się dało, dla organizacji.

Już w pierwszym roku okupacji prawdziwą klęską stały się anonimy wysyłane do gestapo przeciwko osobistym wrogom, których tą drogą można się było łatwo pozbyć. W każdym społeczeństwie jest jakiś procent ludzi, którzy bez większych skrupułów gotowi są uwolnić się od niebezpiecznego konkurenta, męża, żony albo niewygodnej kochanki – jeśli da się to załatwić bezkarnie i po cichu. Metody gestapo stwarzały po temu doskonałą okazję. Gdy w alei Szucha odbierano anonim oskarżający jakiegoś X, że czyta albo rozpowszechnia gazetki lub wyraża się ujemnie o Führerze, wiadomość działała jak alarm pożarowy. Na miejsce wysyłano natychmiast tak zwaną budę i ofiarę, zwykle Bogu ducha winną, sprowadzano na Szucha, skąd najczęściej nie było powrotu.

Lekarze specjalizujący się w Instytucie Higieny w hodowli różnych szczepionek i bakterii otrzymali od jakiejś mocno zakonspirowanej podziemnej komórki zamówienie na wyhodowanie zarazka wąglika. Wypisywano fałszywe anonimy – wymieniające z reguły nieistniejące nazwiska i adresy – zakażano je bakteriami wąglika i wysyłano masowo na Szucha. Po krótkim czasie funkcjonariusze gestapo przydzieleni do „załatwiania” anonimów odczuwać zaczęli dotkliwe swędzenie skóry – pierwszy symptom wąglika. Od tego czasu listy anonimowe wyrzucano z miejsca bez czytania. Niemcy bali ich się jak ognia.

Aż do wiosny 1941 roku dużo troski i czasu zabierało zarabianie na życie. Niemcy chcieli oczywiście wyciągnąć z kraju jak najwięcej na rzecz swojego wysiłku wojennego. Zależało im więc na jak najszybszym uruchomieniu i normalnym funkcjonowaniu przemysłu, handlu, banków, kolei i całego aparatu, który pracować miał na potrzeby wojenne Rzeszy. Ludność zaopatrywała się przeważnie z tego, co udało się wykraść i wyciągnąć na „czarny rynek”. Oczywiście każdy polski kierownik instytucji podlegał nadzorowi niemieckiego zarządcy komisarycznego lub pełnomocnika (*Beaufragte*). Julian Kulski, który po aresztowaniu prezydenta Starzyńskiego zajął jego miejsce, dostał tytuł „komisarycznego burmistrza”, ale i on miał swego niemieckiego „anioła stróża”.

Brat mój Andrzej, w chwili wybuchu wojny naczelnik wydziału Izby Przemysłowo-Handlowej, powrócił do pracy w biurze, które miało swego

przedwojennego wicedyrektora Bolesława Rutkowskiego⁶, a nad nim niemieckiego komisarza w osobie jakiegoś Ślązaka. Upłynęło parę miesięcy, zanim zaczął przynosić do domu pensję.

Ci, którzy jak ja nie zdołali zdobyć zatrudnienia w biurach lub urzędach, utrzymywali się z większym lub mniejszym powodzeniem z handlu. W ciągu pierwszych tygodni po powrocie do miasta na spółkę z kuzynem zabraliśmy się do wprawiania szyb w okna. Nigdy w życiu nie byłem szklarzem, ale okazało się, że to nie taka sztuka. Sztuką było tylko zdobycie samego szkła, kitu i diamentu do krajania. W czasie bombardowania szyby wyleciały w całym mieście. Roboty było więcej niż czasu i sił, ale to się skończyło już po dwóch miesiącach.

Dowiedziałem się przypadkiem, że chłopci na wsi odczuwają dotkliwy brak nafty i zimowe wieczory spędzać muszą w ciemnościach. Natknąłem się na niejakiego Chodorowskiego, właściciela typowego przedsiębiorstwa wojennego operującego na czarnym rynku, i dowiedziałem się, że udało mu się zdobyć całą cysternę nafty. Kupiłem więc dwa kanistry i spróbowałem nowego sposobu zarobkowania. Co dzień rano – skoro świt – wyruszały z Woli ciężarówki miejskiego przedsiębiorstwa „Agril”, które przeważnie po wsiach w Łowickim skupowały bańki z mlekiem. (Z wiosek położonych bliżej Warszawy chłopci sami donosili mleko do miasta). Zawarcie spółki z szoferem „Agrilu” nie było trudne. Ponieważ samochody wyruszały w drogę już o piątej nad ranem, zaraz po skończeniu się godziny policyjnej, więc nocowałem na Woli w jego mieszkaniu.

Z początku impreza zapowiadała się świetnie. Gdy tylko rozeszła się po wsi wieść, że człowiek z „Agrilu” przywiózł naftę, samochód był obleżony przez wiejskie kobiety z naczyniami na cenny płyn. Nie chciałem przyjmować pieniędzy, żądałem zapłaty tylko w maśle. (Masło było bowiem towarem równie poszukiwanym w Warszawie jak nafta na wsi.) Na nieszczęście „Agril” jeździł codziennie do tych samych wiosek. Po tygodniu trzeba było zmienić środek komunikacji. Jeździłem więc podmiejskim pociągami na jarmarki do Żyrardowa lub do innych podwarszawskich miasteczek. Na jednym z takich jarmarków spotkałem przypadkowo kolegę z seminarium Taylora – Kazimierza Wandelta. On handlował sztuczkami płótna, a ja naftą i masłem. Ryknęliśmy śmiechem na swój widok. Oto dwóch młodych

⁶ Późniejszego dyrektora departamentu w Delegaturze Rządu.

adeptów ekonomii przygląda się sobie wzajemnie w nowej i całkiem nieoczekiwanej roli.

Proceder wymiany nafty na masło szedł nieźle, dopóki wśród mojej warszawskiej klienteli nie rozeszła się fama, że kupowane ode mnie masło zala tuje z reguły naftą. Na próżno usiłowałem przerzucić się z nafty na mydło. Nic nie pomogło. Nabywcy z przyzwyczajenia czuli naftę w każdej zakupionej ode mnie osetce masła. Oto siła autosugestii.

Jeszcze gorzej skończyła się produkcja mleka skondensowanego prowadzona na spółkę z doktorem Jerzym Morzyckim. Produkcja nie była skomplikowana, wymagała tylko zdobycia cukru. Problem polegał też na znalezieniu odpowiedniego opakowania. Przy pomocy Morzyckiego udało się zdobyć spory przedwojenny zapas okrągłych pudełek z denkami z impregnowanego papieru.

Wśród warszawiaków panowała wtedy obsesja na punkcie gromadzenia zapasów. Mleko skondensowane znalazło z miejsca popyt przekraczający nasze możliwości produkcji. Wszystko szło wyśmienicie. Nikt nie mógł przewidzieć, że pudełka nie nadają się do tego celu i zaczną pleśnieć razem z zawartością. Nie upłynął miesiąc, gdy nabywcy, którzy jeszcze niedawno dobijali się o choćby kilka pudełek mleka skondensowanego, zaczęli zasy pywać nas wymysłami. Telefon urywał się od rana do nocy. Trzeba było na gwałt zwracać pieniądze. Mniej uprzejmi, nie zadowolając się odzyskaniem gotówki, odsyłali spleśniałe pudełka.

Powstała wówczas nowa okazja. W Warszawie, gdzie wódka nie była nigdy pogardzanym napitkiem, intratnym zajęciem było pędzenie bimbru, który wśród ludzi spragnionych ognistego trunku osiągał niebotyczne ceny. Na szczęście nie potrzebowałem uciekać się do tego procederu. Jeden z moich wujów, Bohdan Wędrychowski, notariusz w Białej Podlaskiej, miał na Podlasiu majątek, który nazywał się Witulin. Był tam jeden z ostatnich w Polsce dworów modrzewiowych, tudzież wspaniała gorzelnia, w której pozostał jeszcze sprzed wojny spory zapas okowity. Postanowiłem spróbować szczęścia. Zakupiłem dwa nowe kanistry (te od nafty przezornie pozostawiłem w domu) i wyruszyłem do Białej Podlaskiej. Wyprawa okazała się ryzykowna. Pociągami z Warszawy Wschodniej do Terespoła jeździli prawie wyłącznie szmuglerzy. Wiedzieli o tym Niemcy i organizowali po drodze systematyczne łapanki. Towar konfiskowano, a ludzi przeważnie wywożono na roboty do Niemiec. Trzeba było sporo szczęścia i sprytu, aby nie dać się złapać.

Przy pierwszej wyprawie ominąłem jakoś szczęśliwie kontrolę na dworcu i znalazłem chłopca, który wracał sankami z Białej Podlaskiej w okolicy Witulina. Był przepiękny zimowy, bardzo mroźny i słoneczny dzionek. Domy, drzewa i pola pokryte grubym, pulchnym kożuchem śniegu iskrzącego się w słońcu. Chłop chciał się ode mnie dowiedzieć, co dzieje się w świecie, a potem zaczął biadolić nad polskim losem. Piękna pogoda, ale słońko nie cieszy ani śpiew ptaków duszy nie rozwesela, gdy kraj w szkopskiej niewoli. Wsłuchiwałem się ze wzruszeniem w ten zawodzący chłopski lament.

Witulin znajdował się już w rękach niemieckiego Treuhändera, ale wujostwu pozwolono zatrzymać dwa pokoje w bocznym skrzydle dworu. Nocowałem u miejscowego księdza, który wydał mi się niezbyt świątobliwym kapłanem, za to niewątpliwie gorliwym i odważnym patriotą. W nocy wyciągał spod łóżka ukryty radioodbiornik i słuchał polskiego Londynu. Rozmowy o polityce zajmowały go znacznie bardziej niż rozważania o zbawieniu duszy.

Wyprawy do Witulina powtarzałem wielokrotnie. Pewnego dnia z dwoma ciężkimi kanistrami wypełnionymi po brzegi wspaniałą okowitą wracałem do Białej Podlaskiej. Okazało się na miejscu, że dworzec otoczony jest przez policję niemiecką. Znowu odbywała się obława na szmuglerów. Na szczęście zdążyłem już zawrzeć znajomość z rodziną kolejarzy, którzy mieszkali opodal torów. Zastaję w domu tłum handlarzy. Nie ma gdzie usiąść – nawet na ziemi. Trzeba jednak przeczekać obławę.

Mija godzina za godziną, a dworzec ciągle otoczony przez Niemców. O godzinie drugiej w nocy kolejarz proponuje mi na ucho, że wyprowadzi mnie bokami na tory, gdzie stoi tak zwany zbiorowy pociąg towarowy. Po chwili idziemy po ciemku przez tory w kierunku stojących wagonów. Mój przewodnik pakuje mnie do pierwszego otwartego wagonu i surowo nakazuje, abym się nie ruszał i siedział cicho, bo inaczej mogę wpaść w ręce Bahn-schutzów. Odchodzi, ja zaś czuję, że stoję po kostki w jakiejś płynnej mazi i że w wagonie panuje smród krowiego gnoju. Dźwigając oba moje kanistry z okowitą, przesiadam się natychmiast do sąsiedniego wagonu i tu zastaję tę samą sytuację. Klnę, na czym świat stoi. Najwyraźniej zostałem ulokowany w bydłących wagonach, którymi wieziono krowy. Za późno na przesiadkę, na zewnątrz zaczyna się już jakiś ruch, po chwili pociąg rusza. Jadę na stojąco, pogrążony w nawozie po kostki, trzymając w obu rękach moje kanistry z okowitą. W Siedlcach mam już tego dosyć, przesiadam się na stojący obok pociąg pasażerski szczelnie wypełniony szmuglerami. Tu dopiero

zaczyna się! Stoję w zatłoczonym przedziale, zapomniawszy, że przyniosłem ze sobą potworny odór świeżego krowiego łajna. Po chwili rozlega się chór narzekań i głosy oburzenia, a potem spada na moją głowę grad najbardziej soczystych i pomysłowych wyzwisk i przekleństw, jakich w życiu nie słyszałem. Ludzie zatykają nosy, odwracają głowy, a ci najbliżej stojący daremnie usiłują się odsunąć.

– Świniarzu – grzmi jakiś gruby jegomość. – Gdzieś ty był? W gnojówce się kąpałeś czy co? I taki między ludzi się pcha!

– Z gówna rodem – wtóruje z kąta jakaś przekupka. – Nie wytrzymaemy w tym smrodzie. Wynoś się stąd, łobuzie jeden, pókiś cały!

W Mińsku wynoszę się istotnie w pośpiechu, nie czekając, aż zostaną wypchnięty. Szukam na próżno pustego przedziału – niestety cały pociąg jest wypełniony. W ostatniej chwili wskakuję do innego wagonu, gdzie powtarza się dokładnie to samo, z tym że słownictwo jest jeszcze bardziej urozmaicone.

Z ulgą opuszczam pociąg w Warszawie. Na Mokotów wlokę się piechotą przez całe miasto, przysięgając sobie w duchu, że do końca życia nie będę szmuglował okowity.

Ostatnim zajęciem, jakiego się chwytam, jest handel papierosami. Przez jakiegoś krewnego w Monopolu Tytoniowym udaje mi się (na spółkę z żoną mego ciotecznego brata, lotnika, który znalazł się w Anglii) zdobyć miesięczny przydział papierosów – rodzaj koncesji. Z części przydziału sprzedawanego „na lewo” można jakoś wyżyć.

Tymczasem w początkach 1941 roku raz po raz dochodzą jakieś głosy o podziemnej działalności „wojska”, czyli ZWZ. Dostęp do organizacji jest oczywiście ściśle zakonspirowany, ale zaczynam wśród zaufanych znajomych szukać możliwości nawiązania kontaktu. Jednym z tych znajomych jest mój dawny profesor z Poznania Czesław Znamierowski.

Zwierzam mu się z moich trudności: chcę czynnie zaangażować się w walkę z okupantem, ciągnie mnie konspiracja wojskowa, a nie polityka. Tymczasem o wyborze organizacji decyduje czysty przypadek: na kogo ze znajomych się trafi.

Po jakimś czasie Znamierowski zaprasza mnie do siebie na herbatę. Zastaję tam jakiegoś jegomościa pod czterdziestkę. Nieznajomy wie już o mnie wszystko od profesora. Dyskusja toczy się wokół wypadków na froncie i coraz wyraźniejszych niemieckich przygotowań do uderzenia

na Rosję. Jest marzec 1941 roku. Przy rozstaniu nieznajomy podaje mi swoje nazwisko: Eugeniusz Czarnowski, i prosi, abym go odwiedził w jego mieszkaniu na Saskiej Kępie.

W czasie tej następnej rozmowy mówi otwarcie, że należy do ZWZ, pracuje w dziale polityczno-informacyjnym Komendy Głównej. Zadaniem jego komórki jest zbieranie na użytek dowódcy ZWZ i jego sztabu informacji o nastrojach w społeczeństwie, o poczynaniach różnych grup politycznych i działalności zakonspirowanych stronnictw. Ma to wielkie znaczenie dla wysiłków mających na celu podporządkowanie dowódcy ZWZ wszystkich organizacji wojskowych. „Adam” (taki był pseudonim Czarnowskiego) zaproponował, abym został jednym z jego informatorów. Nie bardzo widziałem siebie w tej roli, ale propozycję przyjąłem skwapliwie. Najważniejszy był sam kontakt i współpraca z ZWZ, czyli z „wojskiem”.

„Adam” zaczął z kolei wypytywać o moją sytuację osobistą, jak jestem zabezpieczony, jaki mam Ausweis. Krzywi się, gdy mówię, że utrzymuję się, jak spora część inteligencji warszawskiej, z handlu.

– Wpadnie pan w czasie pierwszej łapanki. Dopóki nie był pan z nami związany, nadstawał pan tylko swój własny kark. Teraz, gdy będzie pan nosił przy sobie różne kompromitujące papierki, przypadkowe aresztowanie na ulicy może stworzyć zagrożenie dla innych.

On sam ma Ausweis „Grupy Technicznej” – przedwojennego przedsiębiorstwa, które wykonuje różne zamówienia dla Niemców, a równocześnie stanowi pokrywkę dla organizacji politycznej ZOR (Związek Odbudowy Rzeczypospolitej). „Adam” łączy działalność w BIP-ie (Biuro Informacji i Propagandy) z udziałem w kierownictwie ZOR.

Pyta, czy robiłem już jakieś próby zdobycia mniej lub więcej fikcyjnego zajęcia, które chroniłoby mnie w wypadku zatrzymania w pociągu, na ulicy lub w czasie wybierania z domów.

– Próbowałem dostać administrację domów przez Izbę Przemysłowo-Handlową – odpowiadam – ale to się nie udało.

– Dobrze. Pójdzie pan z moim listem do Józefa Głowackiego w Komisarycznym Zarządzie Zabezpieczonych Nieruchomości. To nasz człowiek, przedwojenny poseł na sejm. On pana urządzi. Ja mam tylko jeden warunek – dodaje, uśmiechając się. – Jeżeli Głowackiemu się uda, muszę mieć melinę na spotkania w jednym z pana domów.

Głowacki pracował jako naczelny buchalter w centrali Kommissarische Verwaltung w dawnym budynku Banku Gospodarstwa Krajowego na rogu Alei Jerozolimskich i Nowego Światu.

Udało mu się już zadekować sporo ludzi z ZWZ i organizacji cywilnych. Było wśród nich kilku adwokatów, redaktor „Kuriera Warszawskiego” (Wincenty Trzebiński), jeden z działaczy szkolnictwa podziemnego Adamczyk i paru innych. Nie działał sam, lecz przez sekretarkę dyrektora, która była wdową po rozstrzelanym w listopadzie 1939 roku prezydencie Bydgoszczy Leonie Barciszewskim. Mając dostęp do „głównego ołtarza”, Barciszewska potrafiła bez większych trudności przemycić w odpowiednim momencie kandydatów Głowackiego. W dwa tygodnie później objąłem administrację dwóch sporych kamienic na Królewskiej i otrzymałem Arbeitskartę. Przy Królewskiej 6 znalazłem pokój na najwyższym piętrze, który miał wejście wprost z klatki schodowej. Po zbadaniu, kim byli sąsiedzi, obrałem go sobie za „biuro” i miejsce spotkań. Właśnie w tym pokoju późną wiosną 1941 roku składałem przysięgę organizacyjną ZWZ na ręce „Adama” i przybrałem pseudonim „Janek”.